

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 14 (56)

Jerozolima, 16 sierpnia 1945 r.

Rok III

ZDZISŁAW BRONCEL

GDY IDEAL SIĘGNAŁ BRUKU...

... „Ciesz się, późny wnuku!
Jęki głuche kamienie:
Ideal sięgnął Bruku — „

C. K. N o r w i d

Wśród licznych zdjęć z walk warszawskich, jakie ogłosiły pisma polskie, jest jedno urastające ponad zwykłe świadectwo boju, ponad dokument prawdy i bolesną pamiątkę. Sięga ono niemal granic symbolu, szkicując temat dla przyszłego Grotgera powstania, motyw dla przyszłego pomnika. Nie sposób od tej fotografii oderwać oczu, nie sposób od jej wymowy oderwać pamięci. Gdy inne pokazują ruiny warszawskich domów, czołgi w kamiennej pustyni miasta, grupy żołnierzy w akcji, to jedno zdjęcie daje bezpośredni obraz człowieka. Obraz Polaków. Streszczenie ich losu.

... W oddali widać zaskie, siatkę drucianego ogrodzenia, kikuty kominów. Na pierwszym planie przesuwają się pochody pokonanych, zmierzających ku niewoli. Idą dwójkami. Pierwszy z nich ma twarz człowieka młodego, choć okala ją ciemna broda. Zarost niegoleny od miesięcy, bujne, nieobcinane włosy. Ze spokoju ruchu, z bezwładnie opuszczanej ręki, widać, iż kroczy jak człowiek pogrążony w śnie, niewidzący i niesłyszący otaczającego świata, zatopiony we własnej zadumie. Jest to żołnierz wyczerpany bitwą niezakończoną powrotem, ale nie żołnierz złamany klęską. Wysokie jasne czoło zdaje się mówić o zrozumieniu wszystkiego co się stało i o pewności, że w sposobnej chwili owa tylna przegrana i nigdy nieprzegrana walka o wolność zostanie podjęta na nowo.

Na ramieniu bojowca, ręką oplatając mu ramię, opiera się młody chłopiec. Nie ma odzieży — nagosego szpitalnego białego nakrycia kurtką. Wpółotwarte usta z trudem chwytają oddech, głębokie zapadliny kładą cień zagłady na policzkach i z przedśmiertną brutalnością zarysowują kości twarzy.

Miedzy obiema postaciami panuje dziwny stosunek. Bojowiec prowadzący chłopca wie, że go jakby nieświadomie, nie otacza go gestem opieki, używając mu tylko tyle oparcia, ile koniecznie trzeba dla wspólnej drogi. Troskę o koleżkę i pocucie wspólnej niedoli przesłania zamyślenie, usiłujące zważyć przeszłość i odgadnąć przyszłość. Rzekłbyś, że oto jest człowiek gotowy poświęcić także i swego młodego towarzysza dla wymagań Sprawy i że już na szlaku obozu jeńców myśli o nowym sprzyśnieniu. Znajomo wygląda owa poważna, zatroskana twarz, ów mężczyzna tak spokojny wśród klęski... Tak mógłby wyglądać, tak zapewne wyglądał Józef Piłsudski we wczesnych latach socjalistycznej konspiracji...

W polskich domach — ta fotografia warszawska zdobiłaby zająć miejsce obok portretów dawnych wodzów walk o niepodległość, obok Kościuszki, Dąbrowskiego czy Ponia-towskiego. I tylko należało by jeszcze dołączyć iście grotgerowski rysunek Topolskiego pt. „Polacy w Rosji“, gdzie w oczach obszarpanych nędzarzy błyszczy płomień przyszłych zwycięstw włoskiej kampanii, gdzie ślaniająca się postać kobieca zapowiada, jak widmo, teherańskie zgony, a starzec, zgarbiony pod tołkiem, jest żywą ruiną przeszłości.

Dwa obrazy — potępienicy pochód przez rosyjskie pustkowia i tragiczny wymarsz ze spalonej stolicy, symbolizują rezultat wojny dla Polski. Walka, podjęta we wrześniu 1939 r., oplacona zarówno pierwszym zniszczeniem Warszawy, tysiącami ofiar, jak i milionami ludzi, wywiezionych na Wschód, miała w powstaniu warszawskim swój epilog. Po pięciu latach wojny — Warszawa jest równie samotna, jak była na początku.

Dziś, obchodzona po roku pamiątka Powstania Warszawskiego jest dla polskiego serca doświadczeniem jeszcze cięższym, niż chwila, kiedy rozeszła się wiadomość o upadku Starego Miasta, o agonii Żoliborza. Jeżeli wówczas usiłowaliśmy się jeszcze ludzi, już nie potrafimy teraz raz jeszcze zamykać oczu na krzywdę, raz jeszcze szukać dobrej woli tam, gdzie jej nigdy nie było. W roku 1944 przez dwa miesiące mieliśmy rządy polskie w stolicy, dekrety wicepremiera, posiedzenia krajowego parlamentu — Rady Jedności Narodowej. Po latach okupacji niemieckiej powróciła na moment wolność i niepodległość i nikt nie będzie mógł powiedzieć, że przy szyłku tej wojny stolica polska niepodległości nie odzyskała. Odzyskała ją na krótko, odzyskała

za straszną zapłatą, lecz tym samym nadała jej swą cenę krwi na wieki przyszłych pokoleń. Gdy wolność znów zagasła — mieliśmy chociaż gruzy Warszawy. Dziś, gdy Żydzi mają dostęp do Ściany Płacu, dla nas zamknęła się droga nawet do ruin.

Świat podlega zbyt szybkim przemianom i zbyt mocno wierzymy w nieśmiertelność narodu i nieśmiertelność wolności, by szeroki sens nadawać słowu „klęska“, tym niemniej Powstanie Warszawskie i jego los najdobitniej wyraziły rezultat drugiej wojny światowej dla Polski. Polska tę wojnę przegrała. Po latach poświecenia, ofiar, walki na najcięższych frontach, znaleźliśmy się w sytuacji gorszej, niż we wrześniu 1939 r. W owym roku państwowym świat uznawał nasz niezależny byt państwowy, kto zaś na terenie państwa polskiego usiłował uzurpować sobie władzę, ten był jasno przez legalny rząd polski, przez cały naród i przez rządy sprzymierzone określany jako wróg i najeźdźca. W obronie naszego najprostszego prawa, prawa do istnienia, przystąpiliśmy do wojny. W obronie uczciwych metod w stosunkach międzynarodowych odrzuciliśmy propozycje niemieckie i przeciwstawiliśmy się sile hitlerizmu. Dziś świat nawraca do metod, które zwałczaliśmy i w ich imię zaprzeczaliśmy polskiemu prawu do wolności.

Jako opaczny rezultat polskiego wysiłku wojennego przekracza to zdolność wyobraźni, łamie serce, uderza w samo źródło życia. Lecz właśnie w takiej chwili, gdy może się wydawać, iż pozostaliśmy bez nadziei, historia zwraca nas ku rocznicy powstania, ku walce prawdziwie beznadziejnej, pod koniec września 1944 roku prowadzonej już ze świadomością nadchodzącego końca, prowadzonej jednak nadal w imię przyszłych pokoleń. Tam gdzie nie można uzyskać dla przyszłości zwycięstwa, trzeba przyszłości pozostawić bohaterstwa.

W imię tej zasady zginął Żółkiewski, trzymał się tej dewizy wszystkie kolejne polskie insurekcje. Wbrew nadziei, ale w zgodzie z duchem historii, broniła się Warszawa w roku 1939, wbrew nadziei, ale dla ocalenia godności narodu żydowskiego walczyło warszawskie ghetto, na koniec — zrozumiałwszy swe opuszczenie — wbrew nadziei walczyła Warszawa, wierząc przecież w jedno: że wstrząśnie światem huk walczącej się stolicy.

Jeżeli Powstanie nie poruszyło wszystkich sumień, trudno się temu dziwić wobec świata, który od dawna biernie przyglądał się mordowaniu Żydów w niemieckich obozach. Jeżeli zaś Powstanie poruszyło sumienia ludzi szlachetnych, było ich zbyt mało, by zdołał świat przypomnieć Warszawę w chwili moskiewskiego procesu.

Dramat, rozgrywający się w Europie od chwili podwójnego uderzenia na Polskę, doszedł do swej kulminacji w sierpniu 1944 r., w tragedii Warszawy. Odsłoniła ona wszystkie postacie akcji, wszystkie intrzygi. I tak jak tragedia prawdziwa, niosąc smutek, przyniosła zarazem wzniosłość, oczyszczenie i wiarę, w której naród będzie szukał pokrzepienia w swej dalszej drodze. W drodze niełatwej — tu jednak powtórzmy zdanie Dmowskiego, wypowiedziane na konferencji wersalskiej. Gdy wobec członka polskiej delegacji pokojowej usiłowano użyć realistycznego argumentu, wskazując mu naszą krytyczną sytuację, Dmowski odparł: „Polska od tysiąca lat znajduje się w krytycznej sytuacji“.

II

Powstanie Warszawskie wybuchło 1 sierpnia 1944 roku o godzinie 5-ej po południu. Już poprzedniego dnia, tj. 31 lipca, gen. Bor podpisał odpowiednie rozkazy, których dotarcie do oddalonych punktów miasta wymagało przeciętnie 12 godzin. Działając tak, komendant Armii Krajowej wykorzystywał po porozumieniu z Delegatem rządu udzielone mu kompetencje nadania sygnału „Burza“ w czasie, jaki uzna za stosowny.

Na wybór terminu 1 sierpnia złożyło się wiele czynników. Przede wszystkim wobec trwającego odwrotu Niemców i posuwania się Rosjan, Kraj był ogarnięty gorącą walką. Każdej chwili groził wybuch samorządny, każdej chwili mogła nastąpić dekonspiracja przygotowanych sił zbrojnych. Czerwona armia zbliżała się do Warszawy, nastroj stawał się coraz bardziej naprężony: Niemcy, jakby

przeczuwając możliwość akcji ze strony Polaków, zaczęli budować umocnienia, wzmacniać obsadę zagrożonych punktów, wreszcie wprowadzili ostrą godzinę policyjną i rozpoczęli pobór stu tysięcy mężczyzn i kobiet na roboty do Niemiec.

Równocześnie 31 lipca zaczął się napływ oddziałów niemieckich z zachodu. Niemcy, doceniając znaczenie Warszawy, jako wielkiego centrum komunikacyjnego, przygotowywali się do obrony miasta. Dowództwo A.K. ze swej strony dążyło do wykonania instrukcji przesłanych z Londynu przez rząd polski, a wzywających do udzielenia wszelkiej możliwej pomocy czerwonej armii w jej kampanii na ziemiach polskich. Obliczano, że przednie oddziały sowieckie powinny znaleźć się w Warszawie około 6 sierpnia, jak zaś dalece trafne były te przewidywania, świadczy, że marsz. Stalin w rozmowie z ówczesnym premierem polskim, Mikołajczykiem, wymienił ten sam termin.

Dla Rosjan zdobycie Warszawy równało się uzyskaniu doskonałego, obszernego przyczółka na zachodnim brzegu Wisły i opanowaniu głównego punktu połączeń kolejowych w Polsce, co wszystko prawdopodobnie prowadziło do przełamania całego systemu obrony niemieckiej nad Wisłą. Dlatego też radiostacje sowieckie nieustannie wzywały ludność polską do powstania, a radio Moskwa nie wahało się nawet insynuować, że w szeregach Armii Krajowej panuje rozgoryczenie z powodu zwlekania przez polskich dowódców z rozpoczęciem ogólnej insurekcji. „Wojna i raboczy klas“ w swym numerze lipcowym przepowiadała, że Warszawa będzie pierwszą uwolnioną stolicą na Wschodzie Europy.

Gdy cywili Niemcy zaczęli opuszczać miasto, gdy Gestapo zastosowało niestychany terror, a Warszawie groziło, że stanie się wyludnionym miastem, gen. Bor zdecydował się podać hasło akcji. Lada dzień cała ludność męska mogła dostać się pod kontrolę Niemców przez posłanie mężczyzn do prac fortifikacyjnych. Ponadto otrzymano wiadomości, że cztery nowe dywizje niemieckie znajdują się w drodze na wschód, wzmocnienie zaś sił niemieckich w Warszawie przekreślałoby szanse powstania. Armia Krajowa rozporządzała wówczas w stolicy koncentracją 50 tysięcy ludzi, z czego jednak tylko 20 tysięcy było uzbrojone, a reszta liczyła na zdobycie broni na Niemcach. Jak gen. Bor wielokrotnie podkreślał w swych oświadczeniach, Warszawa mogła rozpocząć walkę tylko dopóki nie znajdowała się na linii frontu, front zaś zbliżał się z każdym dniem. W chwili wybuchu powstania Rosjanie byli oddaleni o 17 km od stolicy — słyszano już z oddali kanonadę artyleryjską.

Tzw. Związek Patriotów Polskich i Komitet lubelski nie orientowały się w sytuacji do tego stopnia, że przez pierwszych kilka dni w ogóle nie wiedziały o powstaniu, następnie zaś propaganda komunistyczna starała się wytłumaczyć, iż całe powstanie jest po prostu bajką, spreparowaną przez koła polskie w Londynie.

To stanowisko Komitetu zostało dosadnie określone przez angielską lewicową „Tribune“, bynajmniej nie okazującą przedtem nadmiaru sympatii dla rządu polskiego w Londynie. W numerze z dn. 6 sierpnia 1944 r. „Tribune“ pisała:

„Jakże ktokolwiek mógłby dziś uwierzyć, że Komitet rzeczywiście reprezentuje naród polski, jeżeli tak obrzucimy walka mogła rozwinąć się całkowicie bez inicjatywy i nawet bez wiadomości Komitetu? Wielu ludzi musi sobie zadawać pytanie, czy w ogóle sam Komitet nie jest „propagandową kaczka“?

Przez dłuższy czas uważanie powstania za nieistniejące jest oficjalną linią Komitetu. Rola-Zymierski jeszcze długo później będzie twierdził, że nie wiedział, mimo że kpt. Kaługin depešował z Warszawy do marsz. Stalina już 5 sierpnia i że następnie gen. Bor wysłał odpowiednie depešy w sprawie kontaktu z armią czerwoną w dniach 10, 12 i 15 sierpnia.

Gdy wreszcie fakt walk w stolicy Polski stał się sensacją dziennikarską i gdy już dłużej nie można było upierać się przy absurdalnej tezie fikcji powstania, Komitet lubelski rozpoczął nieustającą odtąd na chwilę kampanię oszczerstw, rzucanych zarówno na ówczesnego Nacz. Wodza gen. Sosnkowskiego, na gen.

W numerze:

Włodzimierz Bączkowski: Podłoże wojny 1920 r. — Juliusz Górecki: Pod Arsenalem. — Tadeusz Sowicki: Modlitwa dzieci. — Janusz Jasieńczyk: Powstanie Warszawskie. — Kazimierz Wierzyński: Śpiew w nocy. (Opowiadanie). — Marian Hemar: Akademia warszawska. — ost.: Polacy w Niemczech.

Bora, premiera Mikołajczyka, jak i na całość Armii Krajowej.

Zaczęto od zarzutu, że powstanie nie jest poważną akcją wojskową, lecz tylko serią nieskoordynowanych wystąpień pojedynczych grup polskich, zbyt białych, by zasługiwały na pomoc wojskową i by mogły wpłynąć na plan działań czerwonej armii. Kiedy następnie i ta kolejna linia propagandy nie dała się utrzymać, postawiono organizacji powstania szereg oskarżeń, które w swej pierwszej fazie dadzą się sprawdzić do kilku punktów.

Zarzucono więc, że powstanie przyniesie pożytek jedynie Niemcom i że jest prowokacją niemiecką. Oskarżano dalej rząd polski o wywołanie powstania dla celów politycznych i o przedwczesny jego wybuch, na koniec — o brak uzgodnienia planów z dowództwem sowieckim, co zresztą Lublin tłumaczył brakiem organizacji wojskowej w A.K.

Warto więc przy tej sposobności przypomnieć, że swymi działaniami zbrojnymi w Polsce Armia Krajowa wiązała stale 19 dywizji niemieckich, nie licząc 300 tysięcy ludzi z różnego rodzaju oddziałów policyjnych i formacji specjalnych. W lecie 1944 r. Armia Krajowa była podzielona na 19 okręgów wojskowych, skupiała około pół miliona żołnierzy, w czym 100 tys. kobiet. Jednocześnie wybuch powstania w różnych punktach stolicy, jego systematyczne planowe walki, wreszcie — w porządku przeprowadzona kapitulacja świadczą o istnieniu jednego centralnego kierownictwa i o postęchu wszystkich dla jednego dowódcy.

Przez tę właśnie jednolitość akcji Powstanie stało się manifestacją sił Polski Podziemnej. Ten fakt nie mógł nie mieć swej wymowy politycznej. Potwierdzał on wolę niepodległości, świadczył, że Kraj chce wziąć udział w usunięciu najeźdźcy i że Komitet lubelski na powzięcie tych decyzji nie posiadał wpływu. Odruch polski był naturalny — jakże nie miał stanąć z bronią w ręku przeciw Niemcom naród, który Niemcy przesładowali od 5 lat, nie mogąc nigdy złamać jego ducha.

Gdyby powstanie nie wybuchło, rząd polski nadal byłby przedmiotem komunistycznych oskarżeń o bezczynność, o złą wolę, o niechęć współdziałania z Rosjanami, jeżeli już nie o chęć pomagania Niemcom. Gdy zaś rozpoczęto walkę, radio moskiewskie zrobiło zarzut gen. Borowi z powodu jego rozkazu wyzywającego w dniu 14 sierpnia wszystkie oddziały Armii Krajowej na odsiecz Warszawie.

III

Powstanie bowiem, opanowawszy w pierwszym uderzeniu znaczną część miasta, znalazło się w trudnej sytuacji. Nie nadchodziła pomoc, nie nadchodziła rosyjska odsiecz, wyczerpywała się amunicja, a samoloty niemieckie poczęły bezkarnie bombardować i palić miasto. Apel gen. Bora z 14 sierpnia był już pierwszym wołaniem rozpacz.

Tragiczny dylemat powstania warszawskiego rozgrywał się na oczach całego świata. Gdyby Armia Krajowa zrezygnowała z walki o Warszawę, oskarżono by ją o współpracę z Niemcami, gdy walkę podjęła — zarzucono jej „londyńskie“ cele polityczne, jak gdyby sam fakt walki z Niemcami nie zawierał w sobie istotnej korzyści dla atakujących wojsk sowieckich. Atak ten zresztą wygasł — armia czerwona, stojąca już tak blisko Wisły, rozpoczęła odwrót. Sprowadzili natomiast posiłki Niemcy i Warszawa, podobnie jak w roku 1939, stała się miastem oblężonym i bezkarnie niszczone.

Szybko przekonano się, że jedyną istotną pomoc może przynieść Warszawie tylko wschodnia strona frontu. Ta jednakże argumentowała, iż przy zrzutach ponosi się zbyt wielkie straty materiału wojennego, by warto było podejmować tego rodzaju przedsięwzięcie. Wskazywano też, że Polacy zajmują zbyt mały obszar miasta, by zrzuć mogli trafić do celu. „New York Time“ w odpowiedzi przypominał, że 13 września Polacy potwierdzili odbiór 100 ton materiału wojennego, zrzuconego z samolotów alianckich, a gdy brytyjskie, południowo-afrykańskie i polskie załogi z pełnym poświęceniem odbyły lot 1750 milowy, startując z baz włoskich — znów 80% zrzutów trafiło do rąk powstańców.

(Dokończenie na str. 8-ej)

WŁODZIMIERZ BĄCZKOWSKI

PODŁOŻE WOJNY 1920 ROKU

Dekretem Nr. 698 z dnia 29 sierpnia 1918 roku Rada Komisarzy Ludowych Rosji Sowieckiej anulowała dawne umowy Rosji Carskiej z Niemcami i z Austro-Węgrami, dotyczące podziału Polski. Traktaty bowiem rozbiórowe „sprzeczne były z zasadami samookreślenia ludów i z rewolucyjnymi prawnymi pojęciami narodu rosyjskiego, który uznaje niezaprzeczalne prawo narodu polskiego do zadecydowania o swym losie i o swym zjednoczeniu”.

W dwa lata później, w dniu 28 stycznia 1920 roku, w deklaracji zwróconej do rządu polskiego Rada Komisarzy Ludowych ponownie oświadczyła, że „polityka Rosyjskiej Sowieckiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki w stosunku do Polski opiera się nie na przypadkowych i przejściowych przesłankach wojny i dyplomacji, ale na nienaruszalnej zasadzie samookreślenia narodów i na uznanej i nadal bez zastrzeżeń uznawanej niepodległości i suwerenności Rzeczypospolitej Polskiej. Rada Komisarzy Ludowych oświadcza, że to jej stanowisko jest podstawą stosunków z Polską, poczynając od chwili powstania niezależnego Państwa Polskiego”.

Tego rodzaju oświadczenia często wówczas składał zarówno rząd sowiecki, jak i partia komunistyczna, starając się im nadać odpowiedni rozgłos propagandowy, który by podkreślał pokojowe intencje Rosji Sowieckiej i jej pragnienie dobrego sąsiedzkiego współżycia z Polską. Mimo jednak deklaracji z roku 1918, przytoczonej tutaj na wstępie, Sowiety już wtedy prowadziły w Polsce wzmagającą się z miesiąca na miesiąc propagandę komunistyczną, organizowały PPK (Polska Partia Komunistyczna), zarzucając zwłaszcza Kresy Wschodnie odpowiednimi ulotkami i pismami. Równocześnie dyplomacja sowiecka nawiązywała coraz ściszejszy kontakt z polityką niemiecką, przygotowując się do przyszłej umowy między Niemcami a Rosją, zawartej w Rapallo. Niepokojący także dla Polski charakter przybierała wewnętrzna polityka Sowieców, dążąca wówczas do rozbudowy sił zbrojnych. Skromne resztki wojska rosyjskiego, pozostałe po wojnie światowej, które w jesieni 1918 r. liczyły około 450 tysięcy, pod koniec roku 1919¹⁾ wzrastają do poważnej liczby 3 milionów.

W tymże samym roku powstaje w Moskwie organizacja Międzynarodówki Komunistycznej, która rzuca hasło zrewolucjonizowania świata i podporządkowania go kierownictwu czerwonego Kremla. Skolei zostaje powołany pod auspicjami Międzynarodówki tymczasowy komitet rewolucyjny, wyznaczony dla Polski w następującym składzie: Julian Marchlewski, Feliks Dzierżyński, Feliks Kof, Edward Próchniak i Józef Unszlicht.

Z tą akcją polityczną synchronizuje się akcja armii robotniczo-właścicielskiej, mającej dokonać wyzwolenia światowego proletariatu. Już na jesieni 1919 roku dywizje piechoty i kawalerii sowieckiej posuwają się w stronę Polski. Na przełomie lat 1919-1920 wybitnemu zwiększeniu ulegają siły zbrojne sowieckie na polskim pograniczu. Podczas gdy w końcu roku 1919 na granicy polskiej stały tylko 4 dywizje piechoty rosyjskiej i 1 brygada kawalerii, w ciągu czterech miesięcy siły te rosły do 20 dywizji piechoty i 5 brygad kawaleryjskich, co równa się pięciokrotnemu pomnożeniu zebranych tutaj poprzednio wojsk²⁾.

O tym, że Sowiety rozpoczęli już przygotowania ofensywne, skierowane przeciw Polsce, świadczy również nieostrożne zdanie dowódcy VIII armii sowieckiej, Sokolnikowa. Po zdobyciu Noworosyjska, przybył on w dniu 5 maja 1920 roku do Moskwy, aby wziąć udział w historycznym posiedzeniu, poświęconym wojnie z Polską. Na tym właśnie zebraniu dowódca sowiecki, omawiając wyprawę kijowską Piłsudskiego, stwierdził, że Warszawa wie co robi, gdy zajmuje Kijów, ponieważ w ten sposób uprzedza zamierzoną ofensywę na Polskę i krzyżuje jej plany. Czerwony generał użył następujących słów:

„Dlatego powiedziałem, towarzysze, że nie bez racji dowództwo polskie na nas napada, że nie bez powodów usiłuje zadać nam cios, zanim przetrucenie naszych armii na front polski i ich uporządkowanie osiągnie zamierzony skutek...”³⁾

Do zamiarów ofensywnych i rewolucyjnych w stosunku do Polski i Europy Środkowej przyznaje się sam Tuchaczewski w książce „Pochód za Wisłę” w rozdziale „Rewolucja z zewnątrz”. Wybitny dowódca sowiecki otwarcie pisze, że „Położenie w Polsce przedstawiało się równie pomyślnie dla rewolucji. Silny ruch proletariatu i niemniej groźny ruch robotników rolnych stawał burzującą polską w niezmiernie ciężkim położeniu”. W innym miejscu jeszcze otwarciej dzieli się swoimi marzeniami: „Nie ulega wątpliwości najmniejszej, że gdybyśmy byli zwyciężyli nad Wisłą, wówczas rewolucja ogarnęłaby północnym całym łańcuch europejski” itd. w tym samym duchu.

Polityka sowiecka prowadziła podwójną grę. Deklaracje o poszanowaniu niepodleg-

łości polskiej, o prawie samostanowienia narodu, o ideologii komunistycznej, uznającej rzekomo wolność każdego innego narodu — były tylko zasłoną, mającą pokryć sowieckie przygotowania do ofensywy, wobec zaś opinii zachodniej przygotować akcję propagandową, która będzie usiłowała przedstawić Polskę, jako napastnika.

Polska akcja wojskowa miała wyłącznie cel obronny. Podobnie jak później Piłsudski proponował wojnę prewencyjną z Niemcami, tak i teraz, przewidując uderzenie sowieckie i mając dane o przygotowywanym ataku, postanowił uprzedzić go akcją kijowską. To był główny cel wyprawy kijowskiej i główna intencja Piłsudskiego, reprezentującego wówczas prostą rację państwową Polski.

W rozmowie z mjr. Bortnowskim w dniu 8 maja 1920 roku, Piłsudski, mówiąc o założeniach wyprawy kijowskiej podkreślał jej wyłącznie polskie cele, a już po opuszczeniu Kijowa, w końcu czerwca 1920 roku, oświadczył, iż... „nic mi na Kijowie nie zależy”⁴⁾.

Odezwy Piłsudskiego do Ukraińców, datowane z Kijowa, często uważa się za dowód z góry wypracowanych politycznych zamierzeń polskich na Ukrainie. Odezwy te, sporządzone zresztą ad hoc i pisane żywym językiem ukraińskim, były raczej jednym z elementów taktycznych i naturalnym środkiem, zmierzającym do pozyskania sympatii ludności zajmowanych ziem. Tego rodzaju akcji historia wojen zna bardzo wiele, poczynając od Hannibala, który ludom Hiszpanii obiecywał oswobodzenie spod panowania Rzymu, aż do czasów Napoleona, którego przemówienia w kampanii włoskiej posłużyły później za wzór odezwy kijowskich⁵⁾.

W największej ze wszystkich prac J. Piłsudskiego pt. „Rok 1920” nie znajdujemy najmniejszej wzmianki o celach federacyjnych lub ofensywnych omawianej wojny. Nawet w rozdziale, w którym Marszałek polemizuje z Tuchaczewskim na tematy „rewolucji z zewnątrz”, czyli dotyka zagadnień czysto politycznych, nie ma żadnych elementów mogących usprawiedliwiać istnienie tego rodzaju planów. Pisząc natomiast o celach swej polityki obronnej wobec Rosji w okresie lat 1918-19, opuszczając świadomie lub przez pomyłkę datę roku 1920, Naczelnny Wódz w ten sposób formułuje swe plany wojenne: „Postawiłem też sobie, niezależnie od nikogo, już w r. 1918 wyraźny cel wojny z Sowiecami. Zdecydowałem, mianowicie natężyć siły aby możliwie daleko od miejsc, gdzie się nowe życie wykluwało i wykuwało, obalić wszelkie próby i zakusy narzucenia raz jeszcze życia obcego, życia nieurządnego przez nas samych. W r. 1919 zadania tego dokonałem...” (Por. Rozdział IX).

Uwagi te nie negują poza tym zrozumienia J. Piłsudskiego dla polskiej idei federacyjnej, która kiedyś w lepszych warunkach, odpowiednich po temu, może lub musi być wcielona w życie. Będąc wielkim czcicielem doby jagiellońskiej J. Piłsudski był zarazem wielkim realistą, powtarzającym często zdanie innego wielkiego Wodza, który spod kopuły Inwalidów w Paryżu woła: „Mais c'est la réalité des choses qui commande, messieurs!”

Nawiasem mówiąc, propaganda sowiecka stale wykorzystywała federacyjną interpretację wyprawy kijowskiej, pragnąc przy jej pomocy udowodnić istnienie wielkich ofensywnych planów polskich, rzuconych przeciw Sowiecom, a zarazem ukryć poza tym właściwą przyczynę tej wojny: sowiecki plan zniszczenia Polski za pomocą podwójnego ataku — od środka przez rewolucyjną propagandę komunistyczną, a od zewnątrz — poprzez atak zbrojny.

Korzystając z ówczesnych nastrojów, Sowiety starały się wzmocnić światu, że wojna 1920 roku jest wynikiem polskich ambicji, polskiego imperializmu, zagrażającego pokojowi Europy. Rzeczywistość była inna: Polska została zmuszona do obrony przed pochodem odwiecznej zaborczości rosyjskiej. Wyprawa kijowska Piłsudskiego, która przyniosła mu białawę marszałkowską, była akcją, mającą zapobiec groźnej klęsce i pozwolić młodemu państwu polskiemu na zebranie sił potrzebnych do obrony. Pełną odpowiedź na pytanie o przyczynę tej wojny może jedynie dać przyjrzenie się jej głębokim historycznym motywom i roli, jaką Rosja odgrywała i pragnęła odgrywać nadal w dziejach Europy Wschodniej.

II

Moskwa, jako niezależny czynnik polityczny wystąpiła na widownię Europy w drugiej połowie XV wieku. Dążąc stale do rozszerzania swych granic w kierunku zachodnim, stała się ona główną przyczyną około czterestu wielkich wojen toczonych przez Wielkie Księstwo Litewskie i Koronę Polską do momentu rozbioru w XVIII stulecie. Wojny te były z początku wywołane w dużej mierze rozszerzaniem się granic W. Ks. Litewskiego aż pod mury Moskwy, później jednak stają się wyłącznie rezultatem rosnącej zaborczości rosyjskiej.

Iwan Groźny mówił do litewskiego posła Hałaburdy: „Niechaj miasto Kijów zostanie przyłączone do Rosji, za to zaś zaniechamy pretensji do naszych odwiecznych ziem na

Litwie po rzekę Berezynę”. W dwieście lat później, w dobie Katarzyny Wielkiej, do ziem odwiecznych rosyjskich Rosja zalicza obszary sięgające aż po San i Bug. W dniu 10 września 1914 roku okupacyjny gubernator Galicji, hr. Bobryński, mówił będzie o najdalszych zachodnich krańcach Lemkowszczyzny, jako o „ziemi rosyjskiej”. „Przed wszystkim — mówił Bobryński — Wschodnia Galicja i Lemkowszczyzna z dawien dawna stanowiły rdzenną część jedynej Wielkiej Rusi. Na tych ziemiach rdzenna ludność zawsze była ruską, a zatem układ polityczny tych ziem powinien opierać się na pierwiastkach russkich. Dlatego też będę tu wprowadzać język ruski, ruskie prawo i ruskie urządzenia państwowe”⁶⁾.

Wszystkie te oświadczenia są zarówno odbiciem rosyjskich ambicji, jak i terytorialnego rozwoju Rosji — zjawisko, jakiego poza Rosją nie znają dzieje nowożytne.

za panowania Iwana III, w roku 1462, Moskwa obejmowała obszar ca 10.000 mil kw., który w chwili jego śmierci w roku 1505 sięgał już zgorą 41.000 kw. W roku 1584 (data śmierci Iwana Groźnego) państwo moskiewskie liczy ponad 75.000 mil kw. W końcu XVI stulecia sięga już 130.000 mil kw., a następnie w miarę podbojów na wschodzie i stopniowego przyłączania ziem ukraińskich obszar pozostający pod władzą Moskwy zwiększa się do blisko 264.000 m. kw., zdobycze zaś Piotra doprowadzają go do 282.000 m. kw. Katarzyna pozostawia Rosję panującą nad 352.000 m. kw. Pod koniec panowania Mikołaja II w r. 1917 Rosja obejmowała 367.000 m. kw.⁷⁾ W r. 1921 Rosja Sowiecka opanowuje całkowicie Mongolię zewnętrzną, traci wprawdzie wpływy w Mandżurii, ale za to rozciąga je w roku 1934 na chiński Turkestan. W latach 1939-1940 Rosja „odzyskuje” połowę Polski, Besarabię i państwa bałtyckie. W rezultacie na przestrzeni pięciu wieków obszar Rosji łącznie z terenami pozostającymi pod jej bezpośrednim wpływem zwiększył się 36-krotnie, stając się największym obszarem świata poddanym jednej organizacji państwowej⁸⁾.

Historiografia rosyjska tłumaczy szybki rozwój terytorialny Rosji słabością kulturalną jej sąsiadów, co prowokowało ekspansję Rosji. Nie jest to ścisłe. Poziom kulturalny Rosji w XVI-XVIII wieku nie górował bynajmniej nad kulturami środkowo-azjatyckimi, nad kulturą ludów kaukaskich czy nadbałtyckich, w stosunku zaś do kultury polskiej znajdował się bezsprzecznie na poziomie niższym. Istota zagadnienia tkwi gdzie indziej i jest bardzo specyficzna.

Jedną z największych przyczyn imperializmu rosyjskiego jest charakter rosyjskiego życia, jego tradycyjna gospodarka ekstensywna i niezdolność do opierającego się na miarę zachodnich krajów europejskich wykorzystywania bogactw natury i pokojowej pracy człowieka. Gospodarka ekstensywna graniczyła często z gospodarką rabunkową, niszczyła ziemie żyzne i urodzajne, zmuszając rolnicze skupienia ludności do poszukiwania nowych ziem, najczęściej cudzych i jeszcze niewyjałowionych⁹⁾.

Ten kocznowniczy charakter rosyjskiego rolnictwa posiada swoisty odpowiednik także i w życiu przemysłowym Rosji. Przemysł rosyjski ponosił z reguły wysokie koszty inwestycyjne i organizacyjne w porównaniu do Europy, co zmuszało Moskwę do uzupełniania braków w rentowności własnego życia gospodarczego w drodze podbojów lepiej u przemysłowych i intensywniej zagospodarowanych krajów sąsiednich.

W dziedzinie kultury duchowej również Rosji nie braknie wcześniej pojawiających się uzasadnień polityczno-terytorialnego rozwoju państwa. Koncepcja Moskwy, jako trzeciego Rzymu, powstała już w XVI stuleciu. Jeden z najwybitniejszych pisarzy rosyjskich, Dzierżawin, autor Ody do Boga, mówi o panowaniu Rosji nad światem. Ludowe przysłowia rosyjskie powiadają: „Maskwa, włsiemu miru gaława”. Puszkina głosi hasło panslawizmu: „Słowiańskie rucej soljstia w russkom morie, Ono! i zisakniat, wot wopros”.

Rewolucja komunistyczna w Rosji, poza krótkotrwałą fazą ostentacyjnego głoszenia poszanowania niepodległości innych narodów, nie tylko nie osłabiła zaborczych i uniwersalnych pretensji Rosji, ale spotęgowała jeszcze bardziej, dodając im nowe uzasadnienie w komunistycznym hasle światowego przewrotu. Komintern innymi słowami głosił ideę Moskwy, jako trzeciego Rzymu. Okrzyk Majakowskiego: „My na gorie wsiem burżum mirowej pożar razdumem” nie jest hasłem zjawiającym się na zawołanie i likwidowanym na rozkaz wraz z Kominternem, ale tkwi głęboko w przeszłości rosyjskiej. Wskazuje na to choćby pobieżne zapoznanie się z ideologią rosyjskich słowianofilów i panslawistów z połowy ubiegłego stulecia. Taki na przykład Giereń, ziemianin, emigrant i wydawca londyńskiego „Kołołoka” (dzwon), przyjazny Polakom i rozumiejący wartości cywilizacji europejskiej, w roku 1850 wyżuwa w Rosji „nowy niepokój barbarzyńców, czujących śmierć starego świata”, czyli Europy. W podobny sposób nieco wcześniej w roku 1840 reakcyjny Buraczok pisał o „rozpłomienionym

Wschodzie”, jaki widzi „na popiołach Europy”.

Anarchista i rewolucjonista Bakunin przepowiada, iż „demokracja rosyjska... „rozpłomieni całą Europę swym krwawym blaskiem. Cuda rewolucji powstaną z głębi tego piórnego oceanu”. Słowianofil Iwan Aksakow dopatrywał się w Rosji przyszłości całego świata. K. Leontiew w „stopie z lęku i młokości” widział warunek życia ludzkiego na ziemi. Już w roku 1884 pisał on wyraźnie: „Może zrodzi się znowu niewolnictwo w nowej formie — prawdopodobnie w postaci najokrutniejszego podporządkowania jednostki ludzkiej drobnym i większym kolektywom, które z kolei będą podporządkowane państwu”.

Rosyjska ideologia rewolucyjna, będąca podłożem późniejszej rewolucji komunistycznej, objawiająca się takimi prorokami idących czasów jak Dostojewski, urastała i krystalizowała się jako antyteza Europy. Rosja uważała Azję za skostniałą i dziką, Europę zaś uznawała za „zgniłą”. Pisano w Rosji, że Europa „ma dokonać swego nędznego żywota w mroku upadku umysłowego”, że „słabe i głupie pokolenia europejskie dotrwają tylko do wybuchu tej czy innej lawy, która pokryje je kamiennym całunem i przekaże zapomnieniu”.

Tak więc w dziejach Europy wschodniej i innych obszarów sąsiadujących z Rosją jeden z najważniejszych czynników stanowi, niemal niezmienny w swej treści, imperializm rosyjski, organicznie wyrastający z historii Rosji i z jej azjatyckich pierwiastków, oparty na dążeniach rewolucyjnych, na wschodniej pogardzie dla Europy, na narodowej filozofii rosyjskiej, związanej z korzyściami politycznymi i gospodarczymi, wyrastającej ze wschodniego typu rosyjskiej gospodarki rolnej.

III

Rola dynamicznego imperializmu rosyjskiego w wybuchu konfliktu 1919 roku i wojny 1920 roku była i musiała być decydująca. Rola czynnika polskiego występowała jako drugoplanowa i w swych istotnych założeniach defensywna. Polskie ambicje narodowe i chęć wydobywania na światło dzienne czynów śmiałych i wielkich przyczyniły się do pojmanowania wyprawy kijowskiej, jako polskiej ofensywy na wschód. W istocie rzeczy było to tylko nacechowane realizmem politycznym Piłsudskiego posunięcie prewencyjne, w wyniku którego pochód na Kijów zmusił Sowiety do walki w czasie niekorzystnym dla Kremla, na terenie dla Rosji niepewnym, a przy tym, ze względu na swe wartości rolne, niezwykle ważnym dla rozwijającej się rewolucji.

W książce gen. Kutrzeby, będącej opracowaniem wyprawy kijowskiej, czytamy:

„...wojska polskie zaangażowane przez czas pewien na ukraińskim terenie operacyjnym, potrafiły na czas, w odpowiedniej sile i w dużej wartości stanąć do rozprawy rozstrzygającej się nad Wisłą.

A zwycięskie dotąd na Ukrainie i Wołyniu armie sowieckie? Czy wzięły one i mogły wziąć udział w tej bitwie? Nie wzięły i nie mogły wziąć udziału we właściwym czasie. Ani XII armia sowiecka, ani szybka armia konna Budiennego w bitwie nad Wisłą udziału nie wzięły”¹⁰⁾.

Wyprawa kijowska i bitwa warszawska oraz wypad nad Wieprzą sprawiły, że to, co zaszło w roku 1939 i w latach 1943-1945, nie nastąpiło o 20 lat wcześniej. Dobrze pomyślana, z wielką odwagą zdecydowana i przeprowadzona, uprzedzająca antypolskie zamiary nieprzyjaciela, wojna 1920 roku była wojną obronną odradzającej się Polski.

Musiła ona być podjęta w najfatalniejszym okresie wycofywania się Zachodu z interwencji przeciwsowieckiej w Archangielsku, na Kaukazie i w Kraju Zakaspijskim — dlatego też może być rozumiana tylko jako konieczność defensywna.

Wojna 1920 roku miała za zadanie obronić Polskę przed narastającym uderzeniem czerwonej rewolucji. Ów konkretny, realny cel został osiągnięty w pełni. Naczelnny Wódz tej wojny słusznie uznany został za wodza zwycięskiego, który dla odrodzonego Państwa Polskiego wywalczył 20 lat pokojowego bytu.

Dzień bitwy warszawskiej sprawił w większej mierze niż jakikolwiek inny moment, że wersalski porządek Europy przetrwał do roku 1936. Polska, walcząc w obronie swej niepodległości, walczyła również, choć bez udziału Europy, w obronie Europy wersalskiej, zorganizowanej na demokratycznych zasadach wilsonowskich. Dla nas data bitwy warszawskiej, upamiętniana przez kolejne rocznice, stała się prawie świętem narodowym, ponieważ z tym dniem złączyliśmy obchód Święta Żołnierza — żołnierza bitwy warszawskiej.

Bitwa 15 sierpnia, jedna z „decydujących bitew w dziejach świata” została wygrana przez Polskę mimo znikomej pomocy Europy. Obroniłszy wówczas niepodległość własną i niepodległość europejską. Cud nie powtórzył się po raz drugi — Powstanie Warszawskie, znowuż pozostawione bez pomocy Zachodu, skończyło się klęską i zniszczeniem naszej stolicy. I podobnie jak przed laty losy Europy zwały się z bitwą o Warszawę, tak i dziś ruiny Warszawy pozostają groźnym symbolem niebezpieczeństwa grożącego ideałom świata zachodniego.

¹⁰⁾ T. Kutrzeba, ibidem, str. 342.

¹⁾ Por. Mała Sowiecka Encyklopedia. Artykuł „Krasnaja Armia”.

²⁾ Gen. T. Kutrzeba: „Wyprawa kijowska 1920 r.” str. 45.

³⁾ Tadeusz Teslar: „Propaganda bolszewicka podczas wojny polsko-rosyjskiej 1920 roku” str. 105.

⁴⁾ T. Kutrzeba, ibidem, str. 57 i 285.

⁵⁾ Por. tekst odezwy z przemówieniami Bonapartego w/g „Historii wojennej” Delbrucka.

⁶⁾ Zbiór dokumentów pt. „Odezwy i rozporządzenia” — Lwów, 1916 r.

⁷⁾ I. Bunakow: „Puti Rossiji” Sowr. Zapiski IX.1921. ⁸⁾ Ibidem. ⁹⁾ Ibidem.

JULIUSZ GÓRECKI

POD ARSENAŁEM

Poniżej drukujemy rozdział z książki J. Góreckiego pt. „Kamienie na szaniec”, wydanej w Kraju przez podziemną organizację harcerską. Obecnie ukazał się w Londynie, nakładem Światowego Związku Polaków Zagranicą, jej przedruk zaopatrzonej przedmową Premiera Arciszewskiego.

Autor książki podkreśla w słowie wstępnym, że opowieść ta oparta jest całkowicie na autentycznych faktach.

Pewnej marcowej nocy 1943 r. Gestapo aresztowało jednego z towarzyszy broni Czarnego — Antka. Katuszą i podstępem (znaleziono gdzieś w mieście w czasie jednej z rewizji notatki) wydobyto zeń kilka faktów. Do wiadomości Niemców dostał się tylko drobny ułamek tego co wiedział Antek. W notatkach było zresztą tylko jedno nazwisko i jeden adres: nazwisko i adres Czarnego.

Popołudnie 22 marca 1943 r. spędził Czarny ze swym najbliższym przyjacielem. Skończyli przygotowania do przenoszenia dużego magazynu materiałów wybuchowych, brali udział w dyskusji na temat organizowania szereżów rzesz młodzieży, teraz szli do domu, Czarny odprowadził Staśkę.

23 marca o godz. 4 m. 30 rano do mieszkania Czarnego weszło sześciu ludzi. Sześciu Niemców umundurowanych i po cywilnemu, czterech innych pozostało na zewnątrz. Ci, co weszli, trzymali w pogotowiu pistolety maszynowe. Jakakolwiek próba oporu była niemożliwa. Po krótkiej rewizji zabrano Czarnego i jego rodzinę na Pawiak. W mieszkaniu pozostało jeszcze paru i dokładnie przeglądali każdy pokój, a potem strych i piwnicę. Znalaziono rzeczy, których przeznaczenie nie budziło żadnych wątpliwości.

Już w piętnaście minut po przywiezieniu Czarnego na Pawiak zaczęto pierwsze badanie. Zwykle badania przeprowadzane są na Szucha i zaczynają się bez takiego pośpiechu. W tym jednak wypadku Niemcy działali z wyjątkowym tempem. W przebiegu śledztwa Gestapo nabrało przekonania, że Czarny jest jedną z głównych sprężyn Dywersji. Gestapo zdecydowało jak najszybciej wydusić od nowego więźnia adresy magazynów materiałów wybuchowych i broni oraz adresy wszystkich znanych mu przełożonych i kolegów.

Czarny wyparł się wszystkiego. Zaczęło się bicie. Pokazano mu znalezione notatki. Wstrząsnęło nim to do głębi, ale nie zachwiał w postanowieniu zapierania się wszystkiego. Główną jego troską było ukrycie świeżej blizny po ranie na udzie. Toteż tak się kręcił i wystawiał na razy, by uderzenia spadały właśnie na tę bliznę. Po kilku minutach okolicie blizny były na tyle poszarpane i zakrwawione, że Czarny przestał o tym kłopotliwie myśleć.

Katujący go gestapowcy z uporem i bez przerwy żądali adresów i nazwisk. Gdy twierdził, że nie zna żadnego i podawał bardzo lakoniczne i bardzo nieprawdopodobne wersje, tłumacząc powody przechowywania znalezionych w czasie rewizji rzeczy — wyprowadzało ich to z równowagi. Gdy wreszcie podał nazwisko kolegi zmarłego niedawno w Oświęcimiu, prowadzący śledztwo wściekł się:

— Kłamiesz, kłamiesz, łotrze!

Bicie trwało bez ustanku z parogodzinny mi przerwami. Bito go w trzech postawach: na stojąco — pięścią po twarzy i głowie, leżącego na stołku — kijem i pejcem, oraz na podłodze, gdy mdał — butami po brzuchu i między nogi. Miażdżono mu również podkolanymi butów dłoń na kamiennej posadzce, gdy leżał wyczerpany, bez sił. Bicie kijem ustało dopiero wtedy, gdy kij złamali mu na głowie.

Badanie trwało, przeniosło się teraz na Szucha. Na stole leżały niektóre rzeczy, znalezione w mieszkaniu Czarnego. Między innymi duża pieczęć z kotwicą z czasów Małego Sabotażu. Jeden z gestapowców umaczał pieczęć w tuszu i ostemplował nią twarz i głowę Czarnego. Czarny był zdrowy, lecz chudy i dość drobny. Już pierwsze bicia doprowadziły go do utraty przytomności. Zemdlenia były ulgą w torturach. Nastawiał więc umyślnie głowę na razy, by stracić przytomność i nie czuć bólu. Zemdłonego budzono do życia kopaniem w brzuch, deptaniem rąk i wierceniem butami między nogi. Już pierwszego dnia męki Czarny nie mógł stać na nogach. Musiano go nosić na noszach lub ciągnąć omdlałego za ręce, wciągając głowę i nogami po korytarzach i schodach.

Gdy przywieziono go pierwszego dnia z Szucha na Pawiak, zaopiekowali się nim więźniowie. Ludzie ci, którzy co dnia spoglądali w oczy ciężkim rzeczom, cudząc Czarnego w łazni, byli poważniejsi niż zwykle. Pierwszą noc Czarny spędził na ogólnej sali. Kilku przygodnych ludzi na ochotnika dyżurowało przy nim całą noc, co parę minut podając wodę i przewracając na drugi bok. Następnego dnia przeniesiono go do szpitala w stanie bardzo ciężkim. Ale już w parę godzin potem wzięto go na dalsze badania na Szucha. W czasie tych badań leżał cały czas na noszach. Na tych noszach bito go i katowano straszliwie. Z trudem docucono się go na Pawiaku.

W piątek przeprowadzono konfrontację z Antkiem. Gdy Czarny w dalszym ciągu przeczył, zaczęto go katować przy Antku. Antek stał z podsiniaconych okiem i ze śladami rązów na twarzy i głowie, zadawanych mu w

czasie badań przed tygodniem. Stał śmiertelnie blady z udręki i bólu. Nie mogąc znieść widoku znęcań się nad Czarnym, zawołał:

— Panowie, on powie, ale później. Dajcie mu spokój. To jest naprawdę bardzo dzielny chłopak!

Wobec uporczywego milczenia Czarnego, Niemcy przerwali tego dnia badania zapowiadając wezwanie na śledztwo w sobotę.

— To wszystko co było, to nie — wycedził do Czarnego przez zęby gestapowiec prowadzący śledztwo — od jutra nie zmrzujesz oka. Będziemy cię lać tak długo, póki się nie przyznasz.

A zwracając się po niemiecku do swych pomocników, dodał:

— Bić aż do śmierci!

Czarny został aresztowany o świcie, a już koło 7-ej alarmowo zwoływali się jego przyjaciele. Byli poruszeni w najwyższym stopniu. Los uderzył w kogoś szczególnie im bliskiego. Czuli wzburzenie i pustkę, jakby się coś urwało, skończyło, uleciało w powietrze. W oczach niejednego z tych młodych mężczyzn, które w ciągu ostatnich miesięcy i lat widzieli już wiele groźnych obrazów — błyszczały łzy.

Uczucie beznadziejnej pustki pod wpływem jednej myśli zmieniło się nagle w uczucie nadziei. Jeszcze nie koniec! Jeszcze jest szansa. Przecież można odbić Czarnego! Odbić można — odbić trzeba! Staśka głośno wypowiadała to co czują wszyscy: „Odbijemy jeszcze dziś!” W jednej chwili cała wstrząśnięta wypadkami istota Staśki robi skok od wzburzonych uczuć — do woli, do decyzji, do chłodu planowania i zarządzeń. Gorączkowe narady przerywa dopiero przypomnienie Andrzeja, że za pół godziny jest zbiórka, mająca na celu przeniesienie magazynu materiałów wybuchowych. I takie już było poczucie służby żołnierskiej w tych młodych ludziach, że wszyscy natychmiast wstali i pośpiesznie udali się na wypełnienie wyznaczonego na ten ranek koniecznego obowiązku, choć dusze ich łamały się z niecierpliwości i bólu.

Całe przedpołudnie miały w gorączkowej aktywności. Padają rozkazy. Gońcy rozbiegają się we wszystkie strony. Wszyscy z jakąś zaciętością biorą się do roboty. A roboty jest masa. Prócz ewakuacji magazynu oraz ostrzeżenia zagrożonych — szeregu zmuszonych i pilnych posunięć wymaga przygotowania na południe akcja. Tempo roboty szalone. Rozpoznanie, alarmowanie zespołów, przygotowanie broni i materiałów, lokale...

Rozmowy z władzami są w toku. Staśka jest nieustępliwy w swej woli: „Odbijemy za wszelką cenę”. Nie to, że chodzi tu nie o odbicie więźnia z jakiegoś łatwego prowincjonalnego aresztu, lecz w Warszawie pomiędzy Szucha a Pawiakiem. Mówiono im wprawdzie, że Czarny przecież jest nie pierwszy i nie ostatni. Mury Pawiaka i Szucha pochłonięły już tysiące ofiar. Nie odbijano wielkich przywódców Polski Podziemnej, nie odbijano największych polskich polityków, wojskowych, uczonych. Lecz na perswadowujących spoglądają nieustępliwe oczy: „To prawda, że tych wszystkich wielkich i ważnych nie odbijano, ale Czarnego musimy odbić”.

Wieczorem wszystko gotowe. Ludzie rozstawieni. Niestety, „w górze” nie zapadła jeszcze decyzja. Już przed godziną przejazdu

samochodu więziennego Staśka dostaje rozkaz: „Rozładować akcję!” Mieni się cały na twarzy, przeżywa straszliwy wstrząs. Jest już jednak tak wyrobiony i karny, że zdejmując ludzi z posterunków. Ledwo skończył, ulicą przejeżdża więźniarka z Szucha. Ludzie zeszli ze stanowisk z uczuciem fatalnej bezsilności i żalu. Nikt nie myśli o tym, że walka nie byłaby łatwa; wszystkim przed oczami stoi postać Czarnego. Wczoraj jeszcze wśród nich, dziś w rękach wroga.

Mijają dwa dni, pełne niepokoju, chwile rezygnacji i coraz to na nowo budzącej się nadziei. W czwartek wieczór niepewna wiadomość: „Jutro będzie jechał przez miasto”. Całe piątkowe rano ludzie czekają w niepewności. Tego dnia nic się nie klei. Nie wiadomo nic pewnego. Zbierają się, rozchodzą, znów zbierają. Nareszcie pozytywna i ważna wiadomość: będzie jechał przez miasto. Z wiadomością tą wpada N., patrolujący całym sercem i wszystkimi swoimi możliwościami sprawę odbicia Czarnego. To jego wpływem, jego siłą argumentacji, a przede wszystkim doskonałemu zrozumieniu przez niego uczuć, które owaładnęły oddziałem, zawdzięczać należy zapadnięcie „w górze” decyzji odbicia oraz urzeczywistnienia pomysłu.

Karetka więzienna ma przejeżdżać Bielańską około 5 pp. Jest tylko trzy godziny czasu. Nie wolno zmarnować ani jednej minuty. Pośpiesznie wydaje się umówionym sposobem rozkazy. W kilku punktach miasta przeprowadza się ostatnie odprawy, i powtarza się precyzyjne instrukcje.

I oto wszystko gotowe. W rejonie skrzyżowania Bielańskiej i Długiej wśród przechodniów i przygodnych gapiów ulicznych niewprawne oko nie dostrzeżęby trzech oddziałów polskich sił zbrojnych. Dwa oddziały z granatami i pistoletami, jeden z butelkami napełnionymi benzyną. W pobliskich ruinach parę pistoletów maszynowych. Na centralnym miejscu dowodzący całością młody człowiek trzyma w kieszeni piaszcza dłoń na kolbie nabitego pistoletu. Chociaż odbicie przeprowadza oddział Staśki, zapadła decyzja, iż do wiodzić całością będzie kto inny, mniej niż Staśka ogarnięty wirum wydarzeń i uczuć. Zbliży się 5-a pp. Dowódca, występujący po raz pierwszy w podobnej sytuacji, denerwuje się nie z powodu czekającej ich walki, denerwuje się dlatego, że widzi w dalekiej perspektywie ulicy, jak wyznaczony do sygnalizowania o zbliżającej się karetkę policyjnej chłopc obroczył się tyłem do miejsca, które ma obserwować, i tak stoi. Naraz ów tyłem obrócony sygnalista szybko zakreślił się w miejscu i zaczyna, nie zważając na otoczenie, machać kapeluszem zerwanym z głowy. Dowódca przykłada gwizdek do ust i krótkim, zrozumiałym tylko dla zainteresowanych sygnałem, daje oczekiwany znak.

Każda sekunda podobna jest teraz do niekończącego się czasu. Normalni przechodnie uliczni wydają się w tej chwili wielką i groźną masą, w której aż się roi od agentów. Ulicą Długą przejeżdża na rowerach patrol żandarmerii niemieckiej. Tych dopiero licho nadełało! Na szczęście przejechali, znikli. Ale i tak na chodniku widać mundur niemiecki. Trudno, robota musi być zrobiona. Wreszcie na zakręcie ukazuje się charakterystyczna sylwetka dużego niemieckiego samochodu więziennego.

Dłonie zwierają się na butelkach, na granatach i na spustach pistoletów. W ostatniej chwili z bramy najbliższego domu wychodzi granatowy policjant. Widzi pistolet w dłoni jednego z młodych ludzi; oczy policjanta wytrzeszczają się w nic nie rozumiejącym zdumieniu, a ręce zaczynają szybko gmerać koło rewolweru.

— Precz stąd! — krzyczy Staśka. — Odejdź, jeśli ci życie miłe!

Oglupiały policjant wyciąga jednak rewolwer i podnosi go w kierunku Staśki. Staśka naciska spust, policjant chwytą się za bok, pada na jezdnię i leżąc oddaje kilka strzałów.

W tej samej sekundzie zbliża się do pl. Teatralnego więźniarka niemiecka. Szofer widocznie coś zrozumiał, gdyż dodaje gazu i zamiast jechać na Nalewki, skręca na lewo w Długą. Za późno! Z chodnika wyskakują przed samochód młodzi ludzie; szkło tłuczonych butelek pryska znad maski samochodu, objętej w jednej chwili płomieniem. Płomień z szybkością błyskawicy ogarnia szoferkę. Szofer instynktownie naciska hamulec, samochód, zatoczywszy łuk, toczy się wolno pod arkadami Arsenau. Z płonącej szoferki wyskakują dwaj gestapowcy, od strony Nalewek biegnie oficer S.S. Oficer biegnie od strony, gdzie stoi oddział graniczny Wojtki. SS-Man zdążył już wyjąć pistolet i krzyczy coś po niemiecku. Wojtek powoli i ze spokojem bierze go na cel i strzela. Niemiec pada zabity.

Gestapowcy, którzy wyskoczyli z samochodu, zaczynają nerwowo i chaotycznie strzelać; odpowiadają im polskie strzały. Z pobliskich ruin wyrwa się ostra seria pistoletu maszynowego. Po paru minutach na jezdni, tuż koło więźniarki, leżą trzy postaci w mundurach niemieckich, jeden z leżących pali się. Pali się również znieuruchomiony przy kierownicy szofer. Strzela uważnie i spokojnie jeden z gestapowców, który ocalał z tylnego siedzenia. Kule pistoletu maszynowego Niemca biją po filarach Arsenau, za które skoczyła w tej chwili grupka atakujących wraz ze Staśką. Młodzi ludzie zaczynają gorączkowo strzelać w gestapowca. Na próżno! Jest doskonale ukryty. Ostrzeliwuje się spokojnie i rozważnie. Jakiś mocny typ. Mijają bezcenne sekundy. Okropna rzecz: impas w walce, w walce, gdzie każda chwila zwłoki grozi stronie polskiej nieobliczalnymi następstwami.

Kryzys przełamał Staśka. Wybiega spoza filaru i pędzi wprost na gestapowca.

— Naprzód! — woła jakimś nienaturalnym głosem.

Jak rzuceni prądem elektrycznym wyskakują teraz za Staśką jego towarzysze. Słoń dopędza Staśkę. Zaciął mu się sten. Staśka wyrwa zacięty pistolet, repetuje. Inni strzelają w biegu. Niemiec nie wytrzymuje psychicznie, zrywa się i chowa za samochód, gdzie dosięga go kula jednego z nadbiegających.

Ktoś otwiera płonące drzwiczki szoferki — nikogo. Ktoś inny szarpie płótno z tyłu wozu i wali w zamkniętą z przerażenia ostatniego gestapowca. Wojtek otwiera drzwi więźniarki. Oniemieli w pierwszej chwili więźniowie rzucają się teraz gwałtownie ku wyjściu, gniotąc leżącego na noszach, na pół przytomnego młodego człowieka. Dopiero gdy cała grupa 25 cudem wyzwolonych więźniów wywaliła się z wozu, ukazuje się wypełzająca na czworakach przez ławki Czarny.

— Jest! Jest! — wrzeszczy ucieszony głos. — Jest Czarny!...

Szalona radość ludzi połączona z rozgorączkowaniem bitewnym nie pozwala na dostrzeżenie zielono-żółtego koloru twarzy Czarnego, zapadniętych policzków, olbrzymiego sińca pod okiem, sinych uszu i wlepionych w nich nieruchomo oczu. Już go porwali na ramiona i niosą do czekającego samochodu. Czarny jęczy z bólu. Samochód rusza. Przyjaciele, nie zwracając uwagi na odbitego, ładują świeżymi magazynkami broń. Dopiero gdy to zrobiono — uśmiechają się do Czarnego. Ten spogląda na nich olbrzymimi, rozwartymi oczami. Na twarzy poprzez skurcz bólu maluje się uśmiech. Bierze w dłoń rękę przyjaciela. Dłonie ma czarne i spuchnięte. Szeptem:

— Stachu, ach, Stachu, gdybyś wiedział...

Skrzyżowanie ulic przed Arsenalem jest puste — puściuteńkie. Rozpierzchnięt się gdzieś i ukrył tłum przechodniów; zniknęli tak liczni w tym miejscu przemytlnicy. Wszędzie — cisza. Tylko w powietrzu unosi się jeszcze zapach prochu, jasnym płomieniem dopala się samochód więzienny, na jezdni leżą trupy pięciu gestapowców, gdzieś dalej trup oficera SS, na chodniku granatowy policjant. A na tę scenę pobitą jednego z najważniejszych czynów Polski podziemnej patrzą prastare mury Władysławowskiego Arsenau, świadka insurekcji kościuszkowskiej i powstania listopadowego.

Poszczególne sekcje oddziału przeprowadzającego odbicie więźniów oddalały się od miejsca akcji różnymi ulicami. Wojtek na czele swej sekcji granatniczej szedł szybko ulicą Długą w kierunku Miodowej. Podchodził do gmachu ministerstwa pracy i opieki społecznej, w którym mieściły się urzędy Arbeitsamtu. Za bramą Arbeitsamtu skupiło się kilku urzędników niemieckich, którzy słyszeli strzały pod Arsenalem i widzieli frag-

(Dokończenie na str. 7-ej)

TADEUSZ SOWICKI

MODLITWA DZIECI

„Aniele Stróżu, Boży mój” —
gdy serce strachu rozsada dynamit,
„Ty zawsze przy mnie stój”
z pokrwawionymi skrzydłami.

„Rano, wieczór, we dnie, w nocy” —
odwołuj alarm hieny, syreny,
„Bądź mi zawsze do pomocy”
jeśli tej nocy nie przeżyjemy
w Rosji, w Indiach, Warszawie, Anglii —
pozwól nam przed tym o szarych kotach
posłuchać kołysanki.

Ty przecież nad strumieniem mroki
rozświecisz gwiazdą na głowie,
wskaż drogę siostrze moim dalekim:
ulica Cedrowa w Pruszkowie.

Braciom moim małym, najmniejszym
drżącym przed szczerem piszczącym w schronie,
nie mów, że bomby świst jest ostrzejszy,
podaj im dlonie.

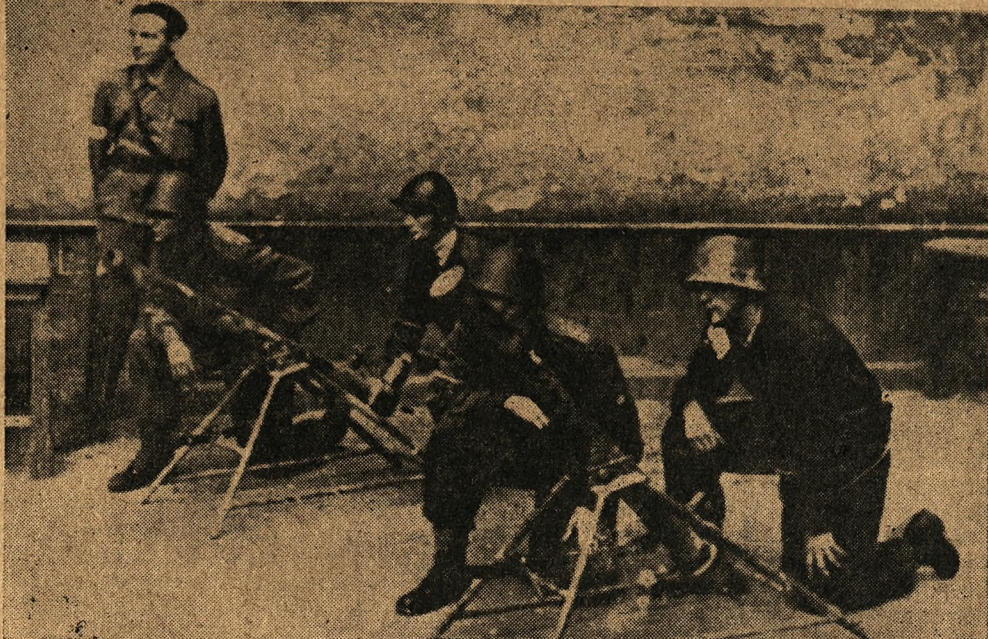
Jeżeli słońca nie doczekamy
w snach swoich widząc dzieciennych
żołnierską i trupią twą twarz,
niech tej modlitwy nie kończy Amen —
Aniele, Stróżu nasz.

Pod krwawym skrzydłem, które nas chroni,
w nocie rosyjskie, w nocie indyjskie,
w nocie angielskie, w nocie warszawskie,
samotne i czekające — prosimy
o Zawieszenie Broni.

NIE czas jeszcze na pisanie historii Powstania Warszawskiego. Nie predko otworzą się tajne archiwa, aby dać odpowiedzi choćby na pytanie dlaczego dobrze rozwijająca się ofensywa sowiecka na Warszawę zatrzymała się nagle w chwili, gdy wojska powstańcze gen. Bora-Komorowskiego opanowały już większą część stolicy i były zdolne do dalszych działań zaczepnych. Nie dziś i nie jutro przemówią ci, co byłiby w stanie wiele tajemnic wyjaśnić, ale mówić jeszcze nie mogą. Przyszły historycy niejedną trudność będzie musiał pokonać, aby

zbrojnej akcji — kierowane już bezpośrednio do robotników Warszawy, Łodzi, Zagłębia Dąbrowskiego.

Te słowa przenikają do trwających w gniewnej gotowości żołnierzy Armii Krajowej i do zmaltretowanej pięcioletnią okupacją, żądnej zemsty ludności stolicy. Nie budzą entuzjazmu dla wątpliwego sprzymierzenia, ale niosą nadzieję współpracy z wrogiem wspólnego wroga. Ukryty w fabryce mebli Kamlera na Woli sztab gen. Bora pracuje w najwyższym napięciu.



Żołnierze Armii Krajowej przy moździerzach wyprodukowanych w tajnych fabrykach polskiego Ruchu Podziemnego.

dotrzeć do całkowitej prawdy o tym wielkim czynie zbrojowego heroizmu, któremu na imię POWSTANIE WARSZAWSKIE.

Jednak prawda o Powstaniu wyłania się powoli z zastój dymnych roznuranych przez wroga Polsce propagandę i ślad zaczyna jak kryształ najwyższej próby.

Poniższe zestawienie faktów, oparte głównie na codziennych komunikatach gen. Bora, uzupełnionych niektórymi późniejszymi publikacjami, ma na celu jedynie uporządkowanie najważniejszych wydarzeń, których wymowa sama odpowie na trzy zasadnicze pytania:

Czy Powstanie wybuchło w czasie właściwym?

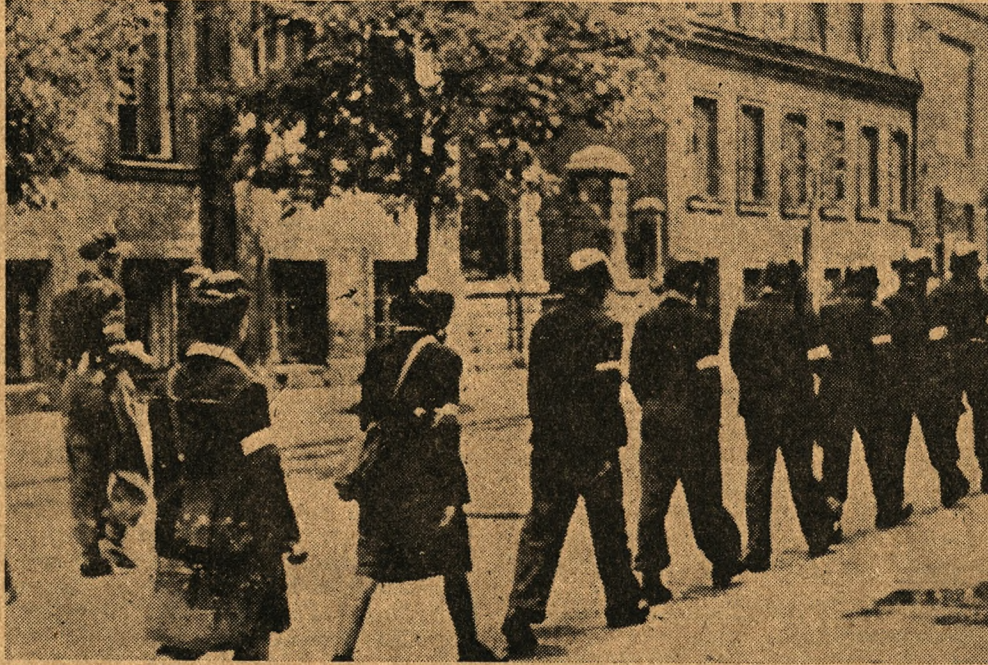
Czy miało odpowiednie kierownictwo i dostatecznie możliwości początkowe, by w sposób istotny utrudnić armii czerwonej przeżycie oporu niemieckiego i zajęcie Warszawy?

Czy brak pomocy z zewnątrz zdecydował o upadku powstania?

11 lipiec 1944 r. Ówczesny premier Rządu Polskiego, Śt. Mikolajczyk, ujawnia w Londynie, że Polska Armia Krajowa, pozostająca pod rozkazami rządu i Naczelnego Dowódcy Polskich Sił Zbrojnych współpracuje ściśle z armią czerwoną, która w zwycięskiej ofensywie wkroczyła na ziemię Rzeczypospolitej. Silne oddziały A.K. walczą w rejonie Wilna, Nowogródka i Białegostoku, w kwietniu walczą na Wołyniu. Dowódcy A.K. otrzymali rozkazy oznaczone kryptonimem „Burza”, oznaczającym jawną walkę na wielką skalę. „Niemcy odczują operację wojskową Polskiej A. K. — kończy Mikolajczyk — „Burza” do pomoce do wypędzenia Niemców z polskiego terytorium i mam nadzieję, przyrzeczmy się do osiągnięcia porozumienia polsko-sowieckiego”.

Przez szereg miesięcy poprzedzających Powstanie Warszawskie radiostacje moskiewskie rozbrzmiewają wezwaniami do Polaków, aby chwytali za broń i atakowali tyły cofających się niemieckich armii. Apele mnożą się z każdym dniem postępującej ofensywy marsz. Rokossowskiego na Warszawę. 23 lipca radio Związku Patriotów Polskich w Moskwie ogłasza odezwę świeżo utworzonego przez Rosję Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Apeł „Do broni!” powtarza ta rozgłośnia moskiewska 24 i 25 lipca. Dnia następnego główna radiostacja rosyjska ogłasza, że armia czerwona jest już nad Wisłą i rozpoczyna zwycięski marsz na Warszawę. „Tymczasem, samowładny rząd londyński” — mówi speaker rosyjski — hamuje akcję zbrojną Polaków, działając w ten sposób na korzyść Hitlera”.

Dzień po dniu powtarza Moskwa wezwania do oddziału Armii Krajowej przechodzi warszawską ulicą dążąc na linię walk



Oddział Armii Krajowej przechodzi warszawską ulicą dążąc na linię walk

POWSTANIE WARSZAWSKIE

ciej i najdumniej zakłęła w sobie ducha Powstania:

*Tu na moją lewą czepkę na baidę,
Tu u nas niech nie płacze to walczącej Warszawy...
„A wy tam wciąż śpiewacie, że „z kursem krwi
bratniej”*

*I że „z dymem pożarów” niszczy Warszawa.
A my tu nagą pierśią na straszy armatnie,
Z kłótniami na wasz podobie i na wasze brania.
Czemu to dalekich stronach śpiewacie w Londynie,
Gdy tu wreszcie nadeszło wygładane światło?
Tu mało dzieci walczą, krew radośnie płynie,
U boku swoich chłopców walczą tu dziewczęta.
Tu bje serce Polski, Tu młoty Warszawy.
Niech pogrzebowe pieśni znikną z audycji —
— Nam, ducha starczy dla nas i starczy go dla was.
Okłasków też nie trzeba: trzeba amunicji.*

Walcząca Warszawa oddycha wolnością. Na domach pojawiają się biało-czerwone flagi, na bramach orły polskie; ulice pokrywają się barykadami. Otoczone koszary niemieckie zamieniają się w odesłone punkty oporu nieprzyjaciela lub wpadają w ręce Polaków; głośniki uliczne nadają po niemiecku fałszywe instrukcje dla oddziałów okupacyjnych, wprowadzając zamieszanie w szeregach wroga. W ciągu pierwszych dni Powstanie czyni poważne postępy mimo braku pomocy z zewnątrz i mimo słabego uzbrojenia.

W ciągu pierwszych 24 godzin Armia Krajowa opanowała całe centrum miasta, z wyjątkiem Ał Sikorskiego (dawna Jerozolimka), kontrolowanej jednak z dwu stron przez Polaków, Mokotów, Ślesie, Sadybę i Ochotę. Elektryczność, gazownia i filtry są w rękach powstańców. Drugiego dnia Polacy zdobywają Pocztę Główną, Stare Miasto, trzeciego Niemcy zostają wyparci z umocnień w Ogródzie Saskim, z Belwederu i Żoliborza. W rękach powstańców jest dworzec



Księża odprowadzają egzekwie nad zwłokami zabitych podczas bombardowania. Jedynym śmiertelnym celem poległych są stare dzienniki.

Wschodni i Wileński, o mosty na Wiśle i Dworzec Główny toczą się ciężkie walki ze zmieniającym się sukcesem. W każdym razie główne arterie, przez które szły posiłki niemieckie na Pragę — most Kierbedzia i Poniatowskiego — są praktycznie nieużyteczne dla nieprzyjaciela.

Niemcy palą domy położone przy al. Sikorskiego, aby zorganizować obronę tego szlaku komunikacyjnego i uniemożliwić komunikację pomiędzy południowymi i północnymi grupami powstańców. W depezy z dnia 3 sierpnia gen. Bor donosi o niesłychanych okrucieństwach, popełnianych na wziętych do niewoli żołnierzach A.K. a zwłaszcza na ludności cywilnej, którą Niemcy masowo mordują, przywiązują do czołgów atakujących pozycje polskie lub pędzą przed oddziałami szturmowymi, aby uniemożliwić ich ostrzeżenie. Komendant Powstania domaga się od Aliantów ogłoszenia tych faktów i zagrożenia represjami oraz uznania Armii Krajowej, zmuszonej często walczyć bez mundurów a tylko z opaskami na rękawach, za armię kombatancką. Długo będzie Warszawa czekać na ten akt prawny, z którego dobrodziejstwa korzystała już od dawna francuskie Maquis. Dopiero dnia 29 sierpnia następuje brytyjsko-amerykańska deklaracja w tej sprawie.

Mimo tych wszystkich trudności, mimo braku amunicji oraz broni przeciwpancernej, której żąda gen. Bor w każdej minucie depezy — Powstanie ciągle trwa w ofensywie. Po tygodniu walk gen. Bor może donieść do Londynu, że 40% obszaru stolicy znajduje się w rękach powstańców.

W tym samym czasie Moskwa nadaje ostrą napaść na polską Armię Krajową, a 6 sierpnia gen. Bor zmuszony jest depeszować do Londynu: „Atak sowiecki na wschodnie przedmieścia Warszawy osłabił na siłę i nie wpływa na sytuację wojskową w mieście”.

„Stwierdzam uroczystość — głosi dalej depeza — że Warszawa nie otrzymała w swej walce pomocy od Aliantów tak jak Polska nie otrzymała jej w r. 1939. Nasze przymierze z W. Brytanią spowodowało jedynie udzielenie jej przez nas pomocy w r. 1940 w odparciu ataku na Wyspy Brytyjskie, w walkach w Norwegii, Afryce, we Włoszech na froncie zachodnim. Żądamy, abyście podali to Brytyjczykom w oficjalnym demarcho. To powinno pozostać jako dokument. My nie prosimy o broń — my żądamy nadesłania jej natychmiast”.

Mimo ciężkich walk życie cywilne ludności w dzielnicach zajętych przez Polaków zo-

staje ujęte w sprężyste ramy organizacyjne. Ujawnia się Krajowa Rada Ministrów, Rada Jedności Narodowej obraduje i podejmuje uchwały, ukazuje się Dziennik Ustaw, ogłaszający dekryty, powołujące do życia władzę cywilną, i inne rozporządzenia. Służba bezpieczeństwa reguluje ruch, wydaje przepustki na przejazd przez barykady. W każdym domu władzę lokalną obejmuje komendant, dbający o rozdział żywności, organizujący służbę przeciwpożarową i obronę przeciwlotniczą. Na ulicach pojawiają się pisma, dotąg kolportowane potajemnie. Niektóre z nich, jak „Rzeczypospolita Polska”, drukują nawet zdjęcia z walk ulicznych. Polskie Radio Warszawa na Mokotowie uruchamia rozgłośnie, wykorzystuje stare głośniki uliczne i ustawia nowe. Setki szpitali polowych i punktów opatrunkowych rozpoczynają pracę. Mał chłopcy i dziewczęta roznoszą pocztę, rozkazy, instrukcje. W piwnicach odbywają się nabożeństwa, księża udzielają ślubów, niemyślnie dołączają do oddziałów okupacyjnych pod okupacją. Elna Gistad, śpiewaczka, opowie później, w Szwecji, zdumiewającą nowinę: 9 sierpnia, odcierawszy się na czas krótki od swych obowiązków sanitariuszki, biegnie na koncert do Konserwatorium, by słuchać polskich artystów: Wasieła, Lubińskiej i nowej gwiazdy — podziemnej gwiazdy Warszawy — uczennicy Didura, Kalmy.

Inny uczestnik Powstania, po przybyciu do Szwecji w takich słowach wyda świadectwo „organizacji wojkowej i cywilnej na Mokotowie”.

O tych chłopach z prowincji mówi ze złością speaker rozgłośni moskiewskiej w dniu 17 sierpnia:

„Malo jest gen. Borowi ofiar mieszkalców stolicy. Bor wezwał oddziały polskie z prowincji, by przysłały mu na pomoc. Bor żąda nowych ofiar od Polaków, żąda nowych setek tysięcy ofiar, jakby mu było mało tej śmierci, która w tej chwili szaleje na ulicach Warszawy”.

Nawet w bardzo „realistycznej” atmosferze spodłanego świata dziwnie brzmią te słowa — rzucane przez radio moskiewskie po wielodniowym, czarnym black-out’cie milczenia o Powstaniu — jeśli zestawie je z gorącymi apelami Moskwy o natychmiastową akcję zbrojną Warszawy. Do kogoż, jeśli nie do Polaków, jeśli nie do podległych im oddziałów K.A. z prowincji miał wołać gen. Bor o ratunek, skoro nie otrzymał pomocy od Rosjan, choć żądał jej nawet sowiecki oficer, kpt. Kalugin, w depezy nadanej w Warszawie dn. 5.VIII via Londyn do Moskwy:

„Moskwa, Marszałek Towarzysz Stalin. Jestem w osobistym kontakcie z Komendantem Garnizonu Warszawskiego, który prowadzi bohaterską narodową walkę partyzancką przeciwko hitlerowskiemu bandytm. Po osobistym zapoznaniu się z ogólną sytuacją wojskową, doszedłem do przekonania, że mimo bohaterskiej armii i całej ludności Warszawy, istnieją potrzeby, których zaspokojenie pozwoli na przyspieszenie zwycięstwa nad wspólnym wrogiem (następuje wyliczenie broni i amunicji). Niemieckie lotnictwo niszczy miasto i zabija ludność cywilną. Bohaterska ludność

Warszawy ufa, że w ciągu kilku godzin udzieli jej pomocy. Dopomóżcie mi w nawisaniu kontaktu z gen. Rokossowskim”.

Moskwa potwierdziła odbiór tej depezy, przesłanej przez Anglików, ale odpowiedź na nią nigdy nie nadeszła. Nie nadeszła również żadna odpowiedź na depezę gen. Bora do marsz. Rokossowskiego, nadaną 8 sierpnia: „Od 1 sierpnia 1944 r. walczą z Niemcami w Warszawie z pomocą całej ludności i wszystkich organizacji wojskowych, zjednoczonych w Armii Krajowej, jak również przy udziale organizacji Milicji Robotniczej, Milicji Ludowej, polskiej Armii Ludowej i innych, które dołączyły do nas w czasie walki. Stacjami ciężkie bitwy. Niemcy dla zabezpieczenia sobie kanałów miejskich pała miasto i wypędzają ludność. Obecnie odieramy jeszcze napór wielkich sił broni pancernej i piechoty. Odcieramy jednak brak amunicji i ciężkiej broni. Szukam pomocy ze strony waszych armii jest konieczna (następuje wyliczenie zapotrzebowania)”.

Tę depezę nadaje gen. Bor już z nowego mp. Dowództwa — na Starym Mieście w budynku szkolnym, gdyż po 7 dniach walk linie bojowe tak zbliżyły się do fabryki Kamlera na Woli, że dłuższe przebywanie tam sztabu Powstania stało się niemożliwe. Łączność z dowódami poszczególnych ośrodków Powstania utrzymuje Bor wyłącznie za pośrednictwem radia i kurierów, których bohaterskiemu oddaniu poświęcił później serdeczne słowa w jednym ze swych wywiadów. Pod gradem kul lub cuchnącymi kanałami przedostają się one co dzień do dowódów poszczególnych dywizji Warszawskiego Korpusu. Na Żoliborzu walczą 8 D.P. pod dowództwem puka. Niedzielskiego („Żywidzi”), na Mokotowie 10 D.P. pod dow. puka. Robickiego („Karol”), a w centrum i na Starym Mieście 28 D.P. pod puka. Edwardem Pfeiferem („Radwan”). Całością Korpusu w chwili wybuchu Powstania dowodził gen. Antoni Chruściel („Monter”).

Tym słabo uzbrojonym siłom przeciwstawiają Niemcy dwie dywizje pancerne (w tym dywizję im. Hermana Goeringa), dwie dywizje S.S. — „Totenkopf” i „Wilkinów” — i jedną dywizję piechoty, aby potem wzmacniać je co raz nowymi posiłkami — jak wybity niemiecki do nogi przez powstańców tzw. „batalion nowicjusów”, złożony z kryminalistów i niemieckich więźniów zwolnionych z obozów koncentracyjnych lub pułk kozaków-własowców Kamińskiego.

Widząc, że Polacy są ciągle w ofensywie, że niszczą masowo czołgi (w ciągu 63 dni Powstania unieszkodliwiono ich ponad 250, a zdobyto 25), a zdobywcę kierują natychmiast przeciwko nim, Niemcy rozpoczynają gwałtowne bombardowanie z samolotów: 6 sierpnia uruchamiają ciężkie sprzężone moździerze — nazywane przez Polaków „krowami”, szczególnie groźne w walkach ulicznych, artylerię, miotacze płomieni; 10 sierpnia weszły do walki pociągi pancerne pomiędzy dworcem Gdańskim a Zachodnim, 13 sierpnia sprowadzają Niemcy lodzie wojenne, z których ostrzelują w Wistę Stare Miasto i Żoliborz. Jak podaje kpt. Nowak, do burzenia miasta i zwalczania umocnień użyto nawet najcięższych dział niemieckich, które służyły do zdobywania Sewastopola. Wielkie czołgi bez obsługi, kierowane radiem, burzą domy i barykady, do używanych początkowo tanków „Tiger”, przybywają od 20.VIII obryzmie „Goliaty”.

Dzień 6 sierpnia jest pierwszym dniem krytycznym Warszawskiego Powstania. Milnik huk dział rosyjskich od strony Pragi, znikają sowieckie samoloty. Luftwaffe i ciężkie

bronie niemieckie rozpoczynają dzieło zniszczenia. 10 sierpnia wicepremier Jankowski donosi o odciegciu Pragi, tegoż dnia Niemcy stawiają pierwsze ultimatum, żądając kapitulacji, i wzywają ludność cywilną do opuszczenia miasta.

W dzielnicach opanowanych przez Niemców zaczyna się straszna gehenna starców, kobiet i dzieci. Gdy milkną na chwilę działa, gdy nocą urywa się warkot silników samolotowych i piekielny huk bomb rzucających bezkarnie z najbliższego pułapu, składanych niemal jak jajka — by użyć makabrycznego porównania jednego z uczestników — w piwnicach domów zjawiają się oddziały gestapo i siepacze ze specjalnych formacji bezpieczeństwa „Sicherheitspolizei”, i wśród płomieni i dymów palonych domów pędzą cywilną ludność na zachód — w nieznaną łos. Dopiero 21 sierpnia Warszawa dowie się, że tym losem jest pozbawiona wszelkich budynków i urządzeń, na przedce otoczona kolczastym drutem przestrzeń pod Pruskowem: głód, pragnienie, wszy i choroby, mordercze strzały, kolby, żołądki buty i dionie oprawców, zadzierające się na gardach najbliższych sercom żołnierzy, którzy wciąż walczą na barykadach Stolicy.

Pierwszym dziesięciu dniom Warszawskiego Powstania towarzyszy jakaś złowieszcza zmowa milczenia: Warszawa tonie nie tylko w dymach i kurzu walących się domów — Warszawa zda się zniknąć ze świadomości światowej opinii, zapada się w „nowym milczeniu piekieł”. Żądana przez Polaków pomoc nie nadchodzi. Milczą uparcie radiostacje rosyjskie, niewiele mówią alianckie. Wiadę o Pow-



Znaczek pocztowy wypuszczony w Warszawie podczas powstania

staniu pojawia się w gazetach angielskich i amerykańskich małymi czcionkami pod komunikatami o zwycięstwach sowieckich.

Rząd Polski i Wódz Naczelny, gen. K. Sosnkowski, czynią wszystko, co w ludzkiej mocy, by zapewnić pomoc aliantów dla walczącej Stolicy. Za kulismi toczą się negocjacje o bazy lotnicze sowieckie, których zażądał Amerykanie, by uzyskać możliwość dostarczenia zaopatrzenia Warszawie. 28 sierpnia prasa brytyjska donosi o odmowie tych baz. Powstanie zacznie wygaszać, aliant rosyjski udzieli wreszcie swej zgody, umożliwiając wielką wyprawę lotnictwa amerykańskiego z dnia 18 września. W pierwszej fazie Powstania władze wojskowe rosyjskie stoją na stanowisku, że ze względów technicznych dostarczanie Polakom w Warszawie zaopatrzenia z powietrza jest niecelowe. Około 9 sierpnia, w czasie konferencji moskiewskiej, gen. Rola Żymierski oświadcza premierowi Mikolajczykowi, że żruty dla powstańców są „wojsko, żywność i lekarstwa” — aby w dniu 1.X. w wywiadzie dla korespondentów zagranicznych w Moskwie z tą samą pewnością siebie twierdzić, że jedyną skuteczną pomocą dla Warszawy było zaopatrzenie, dostarczone jej przez sowieckich lotników (audycja wieczorna Moskwy z 1.X. w języku polskim). Ten sam Żymierski ogłasza w dniu 22 sierpnia przez rosyjskie Z.P.P. w Moskwie demonstracyjny rozkaz do podległych sobie wojsk polskich, nakazujący szturm na Warszawę, by równo w miesiąc później, już po zajęciu przez Rosjan Pragi, pchnąć na wyspy wiślane i na lewy brzeg rzeki parę kompanii piechoty, o których Osóbka-Morawski powie 1.X.: „posłałmy oddziały polskie na Czerniaków przez Wisłę, ale musieliśmy je wycofać” (radio moskiewskie z 1.X.44).

O tych samych polskich oddziałach wspomni potem w Londynie kpt. Nowak: „Żydatność ich była niewielka. Żołnierze i niżsi oficerowie byli Polakami, wszyscy oficerowie starsi Rosjanami”.

W czasie, gdy sumienie świata zaczyna się budzić i wielkie tytuły gazet brytyjskich i amerykańskich wołają już o pomoc dla walczącej Warszawy, tam pancerna plegd na jeźdźcy uderza coraz silniej, lawina bomb i pocisków kruszy domy i punkty oporu. 11 sierpnia Niemcy rozpoczynają koncentryczny atak na Stare Miasto, 13-go padają spalane Stawki, 19-go nieprzyjacieli wdziera się do partu punktów oporu na Starym Mieście, 21-go gen. Bor donosi o utracie remizy tramwajowej na Muranowie.

Poderwana pierwszymi zrzutami broni, dokonany w nocy na 13.VIII kosztem wielkich strat przez lotników polskich i brytyjskich z dalekich baz włoskich, do których niestrącone przez Niemców samoloty musiały zaraz powrócić — Armia Krajowa nie daje za wygraną. Zaraz 14 sierpnia silnie kontratakuję nową bronią z centrum miasta, odciągając obrońców Starego Miasta, 17 sierpnia częściowo odyskuje Stawki, 21 sierpnia utracony przedtem Bank Polski. Powstanie jest ciągle jeszcze groźne dla Niemców. Nie można wygrać.

27 września pada Mokotów, 30 września — Żoliborz. 1 października Osóbka-Morawski ogłasza w Moskwie, że Bor jest zbrodniarzem i będzie sądzony na równi z innymi członkami polskiego rządu.

3 października Polskie Radio Warszawa nadaje raportaż o sytuacji Pragi: „Spójrzmy na Pragę. To męka, śmierć i koszmar ludności polskiej. To piekło, w któ-



Walki na barykadach w centrum Warszawy

gąć korzystać z biegnących przez miasto dróg komunikacyjnych na wschód, budują 29 sierpnia z dala od terenu walk mosty pontonowe na Wiśle.

Wrzesień 1944 — to już powolna likwidacja Powstania. To już tylko wznieślo i romantyczna, w najlepszym stopniu słowa znaczenia, zbrojowa polska walka o wartości moralne: o prawo do wolności dla następów tych, którzy walczą i giną. Różne istniejące określenia bohaterstwa. Ale jeśli nawet stworzymy najsurowszą, najbardziej wymagającą definicję — jeśli bohaterstwem nazwiemy dobrowolne i bezinteresowne poświęcenie wielkiego dobra osobistego dla dobra ogólnego wyższego rzędu — to rzadko chyba można by definicję zastosować tak właściwie jak do czynu Powstańców Warszawy z drugiej połowy września 1944 r.

3 września pada Stare Miasto po 32 dniach zajętych walk. Z tysiąca domów tej pięknej, sięgającej czasów średniowiecza, dzielnicy siedemset zrównanych zostało z ziemią. Gen. Bor ze sztabem opuszcza gmach Ministerstwa Sprawiedliwości, który w chwili przybycia tam dowódcza był pięciopiętrowy, a w czasie ewakuacji, po dziesięciu dniach nieustannego bombardowania, znalazł do jednego pietra.

Przez pięć godzin Komendant Powstania i 50 osób sztabu przedziera się kanałami do nowej siedziby dowódcy w gmachu PKO na Świętokrzyskiej — po pierś w cuchnącej cieczy i mazi, walcząc z wartkim prądem ścieków. Tę samą drogą ewakuuje się około 2000 żołnierzy.

Walczą dalej. Wierzą jeszcze, wzywają pomocy. 11 września przychodzi wieść o wznowieniu rosyjskiej ofensywy i tejsze nocy pierwsze sowieckie zruty broni, amunicji i żywności, 18 września wielki entuzjazm obrońców i ludności wywołuje liczna wyprawa dzienna amerykańskich bombowców i dokonanie przez nią zruty. Niestety, za późno, za mało — nie to, co potrzeba, i nie tak, jak potrzeba.

15 września armia czerwona zajmuje Pragę. 24 września przybywa do Warszawy 3 oficerów sowieckiej artylerii, aby kierować ogniem rosyjskim, który dotychczas w wielu wypadkach niszczył punkty oporu powstańców. Samoloty sowieckie przepędzają niemieckie bombowce. Za późno.

Żyje się ostatni akt Powstania. Już na nic nie można liczyć. Widac bez lornetki zamie w beczniku czołgi sowieckie na Pradze. Zjawia się tam Osóbka-Morawski, by zwołać miejscowy sołwet — tzw. Miejską Radę Narodową. Rola-Zymierski dokonywa inspekcji dywizji im. Kościuszki. Warszawa kona w spalonych domach, w zburzonych bun-



Chwila odpoczynku — posłnek żołnierzy Powstania Warszawskiego

krach, wśród gruzów swoich pomników. Szara, a może krwawa, wstęga Wisły dzieli obóz walczący od tych, co czekają.

27 września pada Mokotów, 30 września — Żoliborz. 1 października Osóbka-Morawski ogłasza w Moskwie, że Bor jest zbrodniarzem i będzie sądzony na równi z innymi członkami polskiego rządu.

3 października Polskie Radio Warszawa nadaje raportaż o sytuacji Pragi: „Spójrzmy na Pragę. To męka, śmierć i koszmar ludności polskiej. To piekło, w któ-

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

ŚPIEW W NOCY

„Śpiew w nocy” wchodzi w skład tomu opowiadań Kazimierza Wierzyńskiego, który pt. „Pobojowisko” (w tekście angielskim „The forgotten battlefield”) ukazał się w Ameryce nakładem Roy Publishers.

Wojsko polskie w Kanadzie tworzyło się w dwu miejscowościach, w Windsor i Owen Sound. Z Windsor widać Detroit, wysokie spiętrzenia niebotyków, rzekę wielką, jak jezioro. W nocy płoną naprzeciwko góry oświetlonych okien, można by fantazjować, że to jakieś nowe Blank Hills rzeźbione światłem w ciemności. W Owen Sound chodzi się wcześniej spać, ciche miasteczko nie miewa żadnych przywidzeń. Nasi żołnierze stawali nad Georgian Bay, wodzili okiem po lesistych wzgórzach i miękkich kotlinach, jeden przybysz z Polski odezwał się do mnie:

— Gdyby nie ta zatoka, można by pomyśleć, że jesteśmy u nas, gdzieś na Podkarpaciu.

Wskazał ręką na rozległe pochyłości i lasy w liniejącym, wiosennym śniegu; może miał rację.

W Windsor trudno było znaleźć coś z krajobrazu Polski. Wypatrywano wszędzie, gdzie znalazło się dwoje oczu, tu kryła się tylko w ludziach. Ale zdarzyło się, że właśnie w tym miejscu pojąłem, kto wie, czy nie najgłębiej, prawdę mego kraju.

Stało się to pod wpływem gawęd wojennych, które prowadziłem z generałem Duchem. Może on dużo powiedzieć, zna różne wojska i wojny. Podczas kampanii w Polsce bił się po raz czwarty w życiu, we Francji po raz piąty. Mundur generalski nosi młody jeszcze człowiek, który w Polsce wojował jako pułkownik. Wstąpił do wojska, gdy miał lat siedemnaście. Niewysoki i krępy, uśmiecha się chętnie, rzemiosło wojenne nie wyniszczyło w nim pogody. Törnistru z przysgodami nie nosi oczywiście na pokaz, jeśli go jednak otworzy, nie ma nic prostszego niż te wspomnienia.

Raz zaszedłem do generała na szachy, ale partia jakoś się nie kleiła. Rozmawialiśmy o tym, że w świecie nazywają nas niepoprawnymi romantykami, i skarżą się, że nas trudno zrozumieć. Generał uważał cechy wywołujące ten pogląd za bardzo dla nas istotne, choć nie łatwe do wytłumaczenia obcym, zbyt często bowiem są niepojęte dla nas samych.

Rychło zapędziłem się w taki gąszcz tego tematu, że odsunęliśmy od siebie szachownicę, na której figury straciły od dawna zdolność ruchu, i gospodarz opowiedział mi o pewnym zdarzeniu, odtąd dla mnie niezapomnianym. Rzecz tyczyła się kampanii w Polsce.

— Teraz ta wojna — opowiadał — jest wojną pięciu kontynentów i siedmiu mórz, jak się o niej mówi. Wówczas była wojna samotnych Polaków. 22 września 1939 roku od zachodu parli na nas Niemcy, od wschodu Rosjanie. My byliśmy w środku, w Lubelszczyźnie, przedzieraliśmy się na południe. W takich sytuacjach nie ma o co walczyć, wtedy jednak wszystko było nam w głowie tylko nie kapitulacja. Już to może wydać się komuś niezrozumiałe, ale przecież tak było.

Tego dnia zdobyliśmy zapomnianą przez Boga miejscowość, pod nazwą Miasteczko. Leży ona na południowy wschód od Zamościa. Zaraz wieczorem uderzyliśmy na las, który zaczynał się na najwyższym wzniesieniu okolicy. Powiniennem powiedzieć — na skraj lasu, bo tylko tyle mogliśmy dostrzec przed sobą. Z mapy wiedziałem, że las schodzi lekką spadzistą na południe, ku wsi Barchaczów. Ten Barchaczów utkwiał mi w głowie jak gwóźdź. Wraz z Barchaczowem zdobywaliśmy drogi, zdobywaliśmy przejścia na Tomaszów Lubelski, na Krasnobród, wszędzie, w świat. Bez Barchaczowa groziło nam wyduszenie między dwiema ścianami.

Uderzyliśmy więc na skraj lasu i wzięliśmy go szturmem. Była już noc, gdyśmy się tam zaszyli. Otrząsnęliśmy się z piachu, kto mógł zasypiał od razu. Biliśmy się już dziesięć dni, zwykła kolej polskiej wojny. Mieliliśmy przed sobą 8-g dywizję piechoty niemieckiej, częściowo zmotoryzowaną, z oddziałami rozpoznawczymi czołgów. Wyciskaliśmy ją z trudem z każdego zakątka, ale jakoś pchał się naprzód.

Noc przeszła spokojnie, zaraz na drugi dzień, 23-go, zaczęliśmy dalsze natarcie. Chcieliśmy przedrzeć się poprzednim impetem, nie mogliśmy jednak przełamać ognia Niemców. Atak utknął, trzeba było zalec w lesie i czekać aż nadciągną sąsiednie oddziały, z prawa i z lewa. Minął na tym cały dzień, nadszedł 24 września. Postanowiono wówczas uderzyć całym frontem. Atak zapowiadany był z lewego skrzydła. Miało ono zacząć natarcie o dwunastę w południe i kierować się na leżące przed nim miasteczko Komarów.

Tymczasem ze sztabów doszły nas słuchy, że od wschodu nadciągają Rosjanie i są od nas trzydzieści kilometrów. Poderwało to szeregi od dowódców do żołnierzy, każdy myślał: uderzać, uderzać czym prędzej. Obszedłem moje pozycje, a miałem wtedy pod sobą dywizję, wszystko znalazłem w porządku. Zwłaszcza artyleria pracowała znakomicie. Było tego sporo. Trzy dywizjony lekkie i dywizjon ciężki — to jest coś. Dwadzieścia cztery działa były z pierwszej linii, reszta z ukrytych stanowisk.

Czekaliśmy aż lewa strona zacznie atak,

ale natarcie nie nadchodziło. Za to z prawego skrzydła dostałem meldunek, że Niemcy się ruszyli i uderzają na nas. Pierwsze linie atakujących rozproszyły się pod ogniem lekkiej artylerii, która biła na wprost kartaczami. Mimo to Niemcy zaczęli przenikać do lasu, skrzydło się wygięło, trzeba było przejść do przeciwnatarcia. Ludzie nie mogli już wytrzymać napięcia. Mój telefonista sztabowy, kapral, zerwał się od aparatu, i stanął na baczność: „Ja pójdę do ataku, proszę mi pozwolić, panie pułkowniku!” Nasi szturmowali ze sobą niemiecki erkaem. Nastąpiła chwila uspokojenia, choć ogień trwał i artyleria nie zaprzestała działania. Zaczęło się znów to denerwujące czekanie, nasi sąsiedzi z lewej strony nie dawali znaku życia. Dwunasta minęła już dawno.

O drugiej trzydzieści spróbaliśmy na własną rękę. Uderzyliśmy na Niemców, początkowo szło dobrze, potem coraz trudniej. Nie można ich było wytrzebić z gęstwy leśnej. Po dwóch godzinach natarcie ustało. Barchaczów szedł coraz bardziej w cenę. Co robić — myśleliśmy? Nie przybliżył nas tam przecież ten kontredans: raz oni naprzód a raz my! Napięcie stało się nie do wytrzymania.

MARIAN HEMAR

Akademia Warszawska

*Nie odwrócą się lata, nie odstaną groby,
Nie wrócisz ludzi żywych z próchna i popiołów.
O co wolno się modlić na gruzach kościołów?
Ach, już tylko o nasze prawo do żałoby.*

*Kiedy na nas się łamie, jak na fal łamaczu,
Pochód dziesięciu wieków, Boże wielki, o co
Pozwolisz nam się modlić przed ostatnią nocą?
Już tylko o to jedno — o prawo do płaczu.*

*

*Cóżeśmy rozumieli z tamtej emigracji?
I kto z nas się domyślał, jaka była cena
Mickiewiczowskich wierszy i etiud Chopina,
I listów, które pisał do matki Mochnacki?*

*A owe długie, nocne rozmowy rodaków,
Szeptane na ubogich poddaszach paryskich —
O czymże były? O kim? — O nas. O nas wszystkich.
O naszym pokoleniu szczęśliwych Polaków.*

*To myśmy mieli drzewem rosnąć na ich grobie,
Korzeniami z tej mierzwy ich serc, ich poezji,
Ich klęski, ich obłędu mesjańskiej herezji —
Drzewem w niebo wolności. Popatrzmy po sobie —*

*To my? My z ich marzenia? Mściciele z ich kości?
My — drugi brzeg nadziei za przepaścią głuchą —
W aniołów przerobieni — pamiętasz? — Ich skrucą
Już zbawieni od grzechów, obmyci z podłości —*

*To w nas miało się ziścić, za czym oni marli
Z tęsknoty donkichockiej, nędzarze, wygnańce,
Jak kamienie przez Boga rzucone na szańce —
Ale się nie godzili, ale nie wyparli,*

*By w nas mogło się ziścić. A oto się ziszcza.
A oto nad Warszawy trupem panichida,
Bez krzyku Słowackiego, bez skargi Norwida.
I straszniej, niż mogiły, i gorzej, niż zgłiszczą.*

*

*Ci, którzy po nas przyjdą — jakim cudem pojmą,
Jak odgadną tę klęskę naszej tajemnicy —
Że była poza mapą bitew, poza wojną,
Poza wojskiem i wodzem, i nie w polityce,*

*Ale tam była, gdzie się na sąd stawia boski,
Na rozprawę ostatnią — krwawy cień pieniacza,
Który jeszcze za grobem Bogu nie przebacza
I wadzi się — bezgłowy Samuel Zborowski —*

*Już nie o tę czerwoność Polski, albo białość,
O władzę nad duszami, lub o słup graniczny,
Ale prowadzi z Bogiem spór lucyferyczny,
O wielkość, albo podłość — o wzniosłość, lub małość.*

*

*Chmury wieją nad ziemią jak chorągwie czarne.
O co wolno się modlić po przegranej bitwie?
By znowu — nasza klęska — nie poszła na marne.
Ale żal, zamiast pomóc, przeszkadza w modlitwie.*

*Zanim spłoniesz na stosie, o warszawska chwało,
Zawiąż twoje usta, ręce będą pętać.
Przyjaciele — to wszystko co nam pozostało —
Żałować. Płakać? — Płakać. Pamiętać? — Pamiętać.*

Nagle, było to koło piątej, ogień wzrósł niespodziewanie i nadeszła wiadomość, że Niemcy znów atakują na naszym prawym skrzydle. Podchodzili wielką masą, bardzo groźnie. Czułem, że to krytyczny moment: albo — albo. Nie było na co dłużej czekać. „Kto żyje, do szturmu!” — zawołałem. Poszło wszystko w ruch: odwody, kompania saperów, kompania sztabowa, pluton telefoniczny, taboryci, oficerowie sztabu dywizji i ja. Skierowaliśmy się na prawe skrzydło, w samo sedno bitwy. Bagnety, polska specjalność, poniosły ludzi niepowstrzymanie. Artyleria przerzuciła ogień w głąb. Atak naszego skrzydła porwał całą linię. Szturm stał się powszechny. Na moim odcinku odrzuciliśmy Niemców już za pierwszym uderzeniem, potem zlamaliśmy wszelki opór i to doszczętnie. Wyczyściliśmy las, z pobojowiska przyniesiono osiemnaście erkaemów z amunicją.

Robiło się już ciemno, gdy wróciłem na dawne miejsce postoju. Po upalnym dniu zerwał się chłodny wiatr, dobry sojusznik po takiej robocie. Wysłałem patrol w głąb terenu, daleko na przódzie przelewał się jeszcze ogień karabinów maszynowych. Nawiązałem łączność z oddziałami, meldunki nie pozostawiały żadnej wątpliwości: zwycięstwo było pełne, Barchaczów zajęty, droga przebita.

Śród zdobyczy mieliśmy lekkie czołgi, samochody pancerne i cały tabor ciężarówek.

Przeszło trzydziestu jeńców ocalałych z pogromu przesłuchano natychmiast, ich zeznania potwierdziły tylko bezwzględność naszej wygranej.

Z jaką rozkoszą wtedy odetchnąłem! Byliśmy ocaleni. Strzały cichy w oddali. Z wiatrem nadciągał chłód wieczorny. Czułem się upojony. Zgromadziłem oficerów sztabu, wróciłem do pracy. Ustaliśmy położyć wojsk, przesuwaliśmy oddziały na noc. Kapral telefonista, ten od erkaemu niemieckiego, krzyczał do słuchawki: „Dobrze, ale myśmy ich naparzyć nie gorzej od was!” Na niebie rozchodziła się luna, to płonął zapalony pociskami Barchaczów.

Wtedy, w pewnej chwili stało się coś, o czym do dziś nie mogę myśleć bez wzruszenia. Od prawej strony, z prawego skrzydła, które przeszło w tych walkach najcięższą próbę, nadciągnął jakiś niespodziewany odgłos. Z początku trudno było ustalić, co to za rozgwar czy też gromadny krzyk idzie powietrzem. Słuchaliśmy wszyscy zaskoczeni i pojęliśmy rychło, że to był śpiew. Melodia kształtowała się coraz wyraźniej, choć wiatr znosił jej tony i rozrywał słowa. Echo odbijane wśród drzew powtarzało z różnych stron:

*Jeszcze Polska nie zginęła
Póki my żyjemy.*

Na naszym stanowisku zapanowała cisza. Przerwał ją kapral-telefonista: „Barchaczów pyta, co się stało?”

Ktoś odpowiedział: „Śpiewają”.

Zamilkliśmy znowu. Pieśń zaczęła nie wiadomo przez kogo podejmowali inni, słychać było jak idzie po oddziałach niewidocznych w ciemności. Jestem stary żołnierz, wiele przeżyłem, ale nie w tym rodzaju mnie nie spotkało. Oszuchane słowa zabrzmiwały w tym lesie i w tej nocy jakąś straszną treścią. „Głosili ją ludzie, którzy na to ocalili w boju, by jutro sprawdzić swoje słowa w nowej bitwie. Słuchałem tej pieśni jakby po raz pierwszy w życiu.

Długo stałem bez słowa, potem zacząłem iść w stronę, skąd nadciągała. Wiatr huczał w gałęziach, luna służyła mi za nieomylną busolę. Zanim jednak dotarłem do źródła śpiewu, ludzie umilkli i wszystko się uciszyło. Pieśń minęła tak nagle, jak przyszła.

Tyle opowiadał mi generał pewnego wieczoru, po nieudanej partii szachów, o bitwie pod Barchaczowem. Innym razem dowiedziałem się, że nazajutrz po walce pojechał do Komarowa, by samemu wyjaśnić co się stało z sąsiednimi oddziałami na lewym skrzydle. Spotkał tam kompanię przysposobienia wojskowego, około sześćdziesięciu chłopców, przeważnie uczniów gimnazjalnych. Stali zgromadzeni w uliczce, dowodził nimi porucznik. „Proszę nas wziąć ze sobą!” — wołali do Ducha, gdy tylko samochód zatrzymał się przed oddziałem.

— Patrzyłem na ich młode twarze — powiedział mi — mogli mieć po szesnaście albo siedemnaście lat. Grozili mi nawet: „Jeśli nie, to sami pójdziemy!” Co miałem z nimi zrobić? Wcieliłem ich do szeregów, kazałem ten oddział oszczędzać ile się da. W następnej bitwie pod Krasnobrodem zginęło dwadzieścia procent tych chłopców. Jak mi meldowano, bili się do ostatka, potwierdzili słowa tamtej pieśni. Taki jest nasz romantyzm, może niezrozumiały, nie wiem — skończył generał.

*

Tego wieczoru wracałem powoli do domu. Z wybrzeża windsorskiego widać było góry oświetlonych okien w Detroit. Po ołowianej wodzie sunęła kra.

Dwa zdarzenia, śpiew w nocy i wyprawa młodych ochotników na wojnę, skojarzyły się we mnie jakby z jednego nurtu płynące. Nie mogłem przy tym zapomnieć, że mój partner szachowy, kiedyś, gdy wstąpił do wojska, też miał lat siedemnaście.

Szedłem powoli pustym bulwarem, w obcym kanadyjskim mieście, jakże daleko od kraju, wypatrywano wszędzie, gdziekolwiek znalazło się dwoje polskich oczu. Nie czułem się jednak zgubiony w tym oddaleniu, a otaczająca mnie obcość pozwalała mi wyraźniej widzieć rzeczy, które powszednieją w pobliżu.

Myślałem nad tym, że odkąd Wybicki zarzykował w mazurku wróżbę o nieśmiertelności swego narodu, pieśń tę śpiewano u nas rozłożoną na głosy pokoleń. Chóry ich gromadziły się często w niewiadomej przestrzeni, wśród miast zapomnianych przez Boga, pod łuną bijącą nad lasami i czekały na swoją kolejkę, jak oddziały wojskowe. Śpiew, który z nich wybuchał, mieszał się z jękami umierających, lecz pozostali przy życiu podejmowali go na nowo. Audytorium świata, być może, niedokładnie przysłuchiwało się natarczywej melodii i dziwiło się nie dość rozumianym chórzystom. Ale oto nadszedł czas, gdy sens polskiej pieśni stał się refrenem powszechnej wolności. Pięć kontynentów i siedem mórz upodobniło się do barchaczowskiego lasu, zapodżanego wśród wielkich obszarów globu. Luna świecąca nad niewidocznym miasteczkiem okazała się nieomylną busolą.

Było już późno, gdy skręciłem z bulwaru do siebie. Góry okien w Detroit rozpyływały się w ciemności. Od rzeki szedł osobliwy szelest, chrzęściła kra, rozcierana i powoli sunąca na wodzie.

POD ARSENAŁEM POLACY w NIEMCZECH

(Dokończenie ze str. 3-ej)

ment walki. Gdy Wojtek był o dwadzieścia kroków przed bramą — zza bramy rozległy się strzały.

— Pod mur! — wrzasnął Wojtek do swoich.

Sam, sięgnawszy do kieszeni po granat, pędził wprost na bramę. Słyszał świst kul. Tuż pod bramą uczył ostre uderzenie w brzuch. Uderzenie tak silne, że skurczył się, zatoczył i opadł na chodnik. Dotknął lewą ręką ubrania i zobaczył krew.

Myśl tylko na ułamek sekundy zatrzymała się na ranie i znów skupiła się koło bramy, skąd w dalszym ciągu rozlegały się strzały. „Wytknął nas wszystkich, jeśli się nie przebijemy” — mignęło w głowie Wojtki, gdy uświadomił sobie, że odwrót sekcji z powrotem ku Arsenaliowi jest niedopuszczalny. Wyciągnął dwa granaty, odbezpieczył je kolejno i cisnął za bramę. Huk eksplozji, a w chwilę potem jęki rannych wskazały, że granaty odniosły skutek. Strzały z Arsenaliu ustały.

— Naprzód! Naprzód! — krzyczy Wojtek.

Część kolegów pędzi dalej. Dwóch pozostaje przy Wojtku, zatrzymując przygodny, obcy samochód i wciągają tam rannego. Po chwili pędzą Miodową. Wojtek stara się powstrzymać broczącą z brzucha krew, a jednocześnie rozmyśla nad tym, gdzie w tym stanie ma zająć, jak nie zdradzić adresu przed obcym, rozumiejącym wszystko szoferem. Niepokoje go także wojskowa ciężarówka niemiecka, która nie chce odjechać od samochodu i towarzyszy mu krok za krokiem.

Widocznie wojskowy szofer zorientował się w sytuacji i pragnie zatrzymać uciekających. Oto ciężarówka robi na wirażu skręt, wymija uciekających — i gwałtownie zagraża swą potężną masą drogę małemu samochodowi osobowemu.

Wojtek, mimo upływu krwi i bólu, czuje się odpowiedzialny za całość. Od paru minut trzyma w ręku granat. Gdy ciężarówka zabiega drogę i paru żołnierzy przygotowuje się do wyskoczenia — Wojtek uchyła drzwi ciska pod ciężarówkę granat. W tej samej sekundzie szofer Wojtkowy skręca na chodnik, a ledwo minął ciężarówkę, rozległa się eksplozja wybuchu. Jeden z żołnierzy upadł, dwaj inni gdzieś zniknęli.

Po kilkudziesięciu minutach Wojtek zatrzymuje samochód i odprawia szofera.

Kolejdy prowadzą go pod ręce. Opanowując falę omdlenia idzie powoli, wchodzi do bramy i zmierza do mieszkania.

A zasadą podstawową przy ranach w brzuch jest: żadnych ruchów, żadnego wysiłku.

Wojtek nie zdawał sobie sprawy z tego, jak poważnie jest ranny i jakie mu grozi niebezpieczeństwo. Odczuwał co prawda ból, lecz samopoczucie psychiczne było tak świetne, a myśli o wyzwoleniu Czarnego i o zwycięskiej walce — tak podniecające, że chciał mu się nieustannie o tym mówić. Był przy tym zadowolony z siebie. Te dwa granaty pod Arbeitsamtem musiały sporo „poharatać” Niemców, no i dały wolną drogę ludziom! O, kiepsko by było, gdyby się nie przebili przez strzelających szkopów.

Wezwani lekarze nie mieli po oględzinach chorego dobrych min. Natychmiastowa operacja nie poprawia jego stanu.

Ale Wojtek czuł się doskonale. Mimo wzrastających bólów był wesoły i bardzo żywy. Ciągłe go ktoś odwiedza. Ktoś najbliższy z rodziny, Zosia, któryś z przyjaciół.

— No nareszcie się tu wyspię! Wyspię za wszystkie czasy — żartował Wojtek.

A do Zosi poważnie:

— Nie uwierzysz, ale jednym z powodów mego zadowolenia jest to, że wreszcie ja sam cierpię. Dotąd cierpieli inni. Tylu ludzi... Ojciec... A niedawno przeze mnie, ona... To, że mnie dotąd omijało, było nieznosne. Teraz — wszystko w porządku.

Drugiego dnia po operacji nastąpiło silne pogorszenie. Mocny, tępy ból nie ustawał ani na chwilę.

— Jak tam Czarny? Mój kochany, weź tę pomarańczę i zanieś Czarnemu. Tak bym bardzo chciał go zobaczyć i pogadać z nim. Ten ma dopiero do opowiadania!

Wojtek nie wiedział nic o ciężkim stanie Czarnego. Nie powiedziano mu, by go nie martwić.

Temperatura wzrastała. Osłabienie oparowywało ciało. Gdy został sam z kimś z rodziny — poprosił o portonetkę. Z jednej z jej przegródek wyjął małą karteczkę. Ręką Zosi była na niej napisana modlitwa, która Wojtki najbardziej wzruszała.

„Kto się w opiekę odda Panu swemu, a całym serce szczerze ufa Jemu — śmieiej rzeć może: mam obrońcę Boga, nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga...”

Wojtek słuchał odczytywanych słów psalmu — i uśmiechał się. Rzecz nie do wiary: mimo cierpień fizycznych Wojtek wciąż czuł się bardzo dobrze.

Śmierć! Najprawdopodobniej go tym razem ominie. Ale gdyby przyszła — niech przychodzi. Niech śpieszy! Jest całkowicie gotów na przyjęcie tej pani. Tyle setek razy już o niej myślał, tak stałe był na nią gotów, że żył się z nią i niemal zaprzyjaźnił. Swoją część roboty „odwalił”. „Odwalił” ją tak dobrze jak tylko mógł. To najważniejsze. A przy tym był w tak przyjaznych stosunkach z Panem Bogiem!

— Halo, jak tam Czarny?

Mówił już tak cicho, że Zdźch musiał pochylić się nad rannym.

Było rzeczą oczywistą, że każdej godziny może nastąpić koniec. Wiedź błyskawicznie rozeszła się wśród przyjaciół Wojtki, wywołując męczące uczucie przynębnienia i rozpacz. Odchodził w zaświaty ich przyjaciel najdroższy, a oni byli bezsilni. Tu już nie pomóc nie mogli.

Wojtek gaś. Tracił przytomność. Rozumiał już, że gra jego życia dobiega końca. Rozumiał — i nie przestawał się uśmiechać... Cóż to za cudowna była gra!...

A w innej części stolicy leżał wśród przyjaciół Czarny. Zmieniał się koło niego ludzie, — ktoś najbliższy z rodziny, przyjaciele, — ale jeden człowiek trwał w pokoju chorego bez przerwy: Staśka.

Stan Czarnego był straszny. Z trudem rozebrano go i ułożono na łożku. Nie można było dotknąć żadnej części jego ciała. Cierpiał bardzo, ale wpatrując się w twarz przyjaciół i wchłaniając atmosferę otaczającą go przyjaciół, szeptał:

— Och, jak boli — ale, Stachu, jakże przyjemnie i jak rozkosznie.

Całe ciało od pasa do kolan było jakby bardzo silnie opalone i spuchnięte. W wielu miejscach widniały strupy i zakrzepia krwi. Nie widać było sińców. Wszystko było rozbite równomiernie.

Gdy powiedział, że nie jadł od poniedziałku — dali mu sucharek i herbatę. Nie mógł jednak jeść.

Koło północy Czarny obudził się i przywołał Staśkę. Kazał mu uściąć koło siebie i uściąć serdecznie. Potem opowiadali sobie wzajemnie o przeżyciach ostatnich dni. Wzajemna ich bliskość była dla nich prawdziwą rozkoszą.

— Miałem na Szucha chwilę dużej satysfakcji, — mówił Czarny — gdy prowadzący śledztwo gestapowiec krzyknął do mnie: „Ty polski bandyto! Co się tak patrzysz!” I do innych gestapowców po niemiecku: „Przecież to spojrzenie i twarz urodzonego bandyty”.

— I tylko żał mi było was opuszczać. I swego plutonu — ciągnął dalej. — I ciężko mi było samemu bez ciebie. Słuchaj, jak pomyśle, co by wyczyniali tam ze mną dziś na Szucha, słabo mi się robi. Właściwie najważniejszą moją troską tam — było ciągle szukanie sposobów przyspieszenia śmierci.

Mówienie męczyło go. Kazał Staśce położyć się obok siebie i gdy przyjaciel układał się ostrożnie, by go nie urazić, Czarny objął go mocno za głowę i zasnął. Miał poczucie całkowitego bezpieczeństwa. Nie denerwowały go ani kroki pod oknami, ani strzały na ulicy, ani dzwonki za dnia.

Rano znów gawędzili ze Staśką.

— Jak szczęśliwi będziemy, gdy zamieszkamy razem, gdy pojedziemy stąd na wieś, na moje wyzdrowienie. Tylko warunek zasadniczy: te typy z Warszawy muszą nas odwiedzić! A szczególnie Wojtek. Po strzale należy mu się urlop (o tym, że rana Wojtki była bardzo ciężka — Czarnemu nie powiedziano).

Mijały powoli godziny tych kilku dni bólu, przelatanego szczęściem, a potem — szczęścia, przeplatanego rozpaczą. Czarny niczego nie mógł trawić. Ciągłe wymiotował. Gdy po skurczach bólów wymiotowych wyłaziła mu się twarz — powtarzał:

— Jak rozkosznie... Czy może być przyjemniej?

Gdy zostawali sami ze Staśką, sprawiał mu przyjemnością trzymanie ręki w dłoni przyjaciela. Rozmowa była wtedy otwarta, szczerą, i żaden nie starał się ukryć tak dawniej nieśmiało wyrażanych uczuć przyjaźni. Gdy przychodził inni — rozmowa stawała się iskrząca, pełna przekomarzań i dowcipów, wyśmiewania i udawanego cynizmu. Nigdy dotąd to przyjacielskie grono nie czuło się tak mocno ze sobą związane. Nigdy jeszcze nie było im ze sobą tak miło.

Mijały godziny i dnie. Po pewnym czasie prawda, którą wszyscy spychali ze świadomości, stała się oczywistą. Stan Czarnego był beznadziejny.

Ostatnie 24 godziny męczył się strasznie. Sen przerywały nieustanne paroksyzmy bólu.

— Stachu, Stachu, jak boli, jak strasznie boli... Już nie mogę — i tzy toczyły mu się po policzkach.

W Staśce wszystko skręcało się z cierpienia. Obawiał się, że łaża chwila zerwie się z krzesła i zacznie krzyczeć lub wyleci na ulicę i popełni jakieś szaleństwo.

Gdy w godzinie pewnej ulgi, w krótkiej pauzie między bólami, któryś z przyjaciół zaczął deklamować wiersz „Jubileusz”, wiersz o tym, jak to będzie za dziesięć lat — Czarny przerwał z uśmiechem:

— Powoli, panowie, spokojnie — i machnął ręką.

A po chwili:

— Skoro już o poezji mowa, powiedz, Janku, ten wiersz Słowackiego...

Zapanowała cisza. Janek, starając się opanować głos, mówił „Testament”. Czarny trzymał w dłoni rękę Staśki i powtarzał szepem sinymi wargami najcudowniejszą ze zwrotek:

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei...

A kiedy trzeba na śmierć idą po kolei, Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec!...

Czarny i Wojtek umarli tego samego dnia.

Juliusz Górecki

O Polakach w Niemczech wiemy właściwie bardzo mało. Brak wolności przejazdów, trudności pocztowe, niewielka ilość korespondentów, których dopuszczono na okupowane tereny Rzeszy — to wszystko sprawia, że wiadomości przenikają powoli i w ilości niedostatecznej dla szybkiego i wszechstronnego zorientowania się w sytuacji naszych rodaków w Niemczech. Stosunkowo najczęściej pisze o nich wychodząca w Anglii „Polska Walcząca”, z której czerpiemy większość podanych niżej informacji, dotyczących zresztą tylko okupacji brytyjskiej i amerykańskiej.

Na zasadzie opublikowanych dotychczas danych trudno nawet ustalić dokładną liczbę b. jeńców polskich, b. niewolników i więźniów obozów koncentracyjnych oraz wziętych do niewoli po Powstaniu Warszawskim żołnierzy Armii Krajowej. Można jednak przyjąć, że ogólna cyfra znacznie przekracza milion, a prawdopodobnie sięga nawet dwóch milionów. Nie jest również znana ilość obozów, w których znajdują się Polacy.

Stosunkowo najwięcej informacji napłynęło o ośrodkach, które zostały dobrze zorganizowane przez energicznych polskich oficerów łącznikowych i dzielne zespoły, wyłonione spośród samych jeńców, internowanych lub robotników-ześląnców. Na plan pierwszy wysuwają się: wielki ośrodek polski w Brunzwicku, nazwany przez Brytyjczyków „Polską Republiką Brunzwicką”, Maczków i Greven.

Maczków

Organizacja polskiego miasta Maczkowa, które wzięło swą nazwę od nazwiska dowódcy polskiej Dywizji Pancernej, rozpoczęła się w dniu 21 maja, gdy dywizyjny Dowództwo Opieki nad Polakami rozpoczęło pracę. Z rozkazu brytyjskiego Military Government w ciągu paru dni wysiedlono z położonego w pobliżu granicy holenderskiej miasta Haren wszystkich Niemców. Już 22 maja przybyły pierwsze transporty Polaków z obozów okolicznych, 4 czerwca uruchomiono pierwsze warsztaty pracy, 11 czerwca rozpoczęto naukę w szkołach, a 14 czerwca dokonano uroczystego otwarcia polskiego miasta i nadania mu nowej nazwy. Te kilka dat streszcza w sobie umiejętność pracy organizatorów, na których czele stoją od początku kpt. Marian K. i ks. dziekan Antoni W. oraz zespół kobiet z sąsiedniego obozu A. K.

Maczków liczy około 5000 mieszkańców — mężczyzn, kobiet i dzieci — pochodzących głównie z Łodzi i okolicy (ok. 65%), choć nie brak i osób z Warszawy, Kielce, Radomia i Wielkopolski. Większość stanowią pracownicy rolni i robotnicy. Dzieci w wieku szkolnym jest przeszło 600, wśród nich wiele sierot. Znaczna część ludności to rodziny i pary skojarzone już na wygnaniu, gdzie obowiązywał Polaków surowy zakaz zawierania małżeństw. Panuje silny prąd legalizowania tych związków. 4 czerwca w miejscowym kościele ogłoszono 75 par, 150 dalszych czeka na załatwienie formalności.

Osiadłe Maczków — podobnie jak inne ośrodki ludności cywilnej obcej w Niemczech — podlega Military Government, który sprawuje nadzór i dostarcza żywności, głównie rekwirowanej u Niemców. Udział polskiego Dowództwa Opieki nad Polakami i jego organów polega na zorganizowaniu wewnętrznego życia osiedla i przygotowaniu go do samodzielnego bytu. W przyszłości obowiązki Dowództwa przejmą sami mieszkańcy. Na czele osiedla stoi obecnie z ramienia wojska polskiego kapitan artylerii Marian K. Zastępcą jego jest kierownik działu gospodarczego w Zarządzie Miejskim, kpt. dypl. Paweł G., były oficer sztabu Brygady gen. Andersa w kampanii wrześniowej. Tymczasowym burmistrzem miasta został rezerwista, por. Józef Z., adwokat z Warszawy. Dziekan Brygady Podhalańskiej, która walczyła w Norwegii, ks. Antoni W., kieruje duszpasterstwem. W administracji ośrodka pracuje około 20 b. jeńców wojennych i 55 kobiet z obozu A.K. w Oberlangen — wszystko fachowcy, prowadzący poszczególne działy życia miejskiego. Miasto podzielone jest na cztery dzielnice, które z kolei obejmują grupy, liczące od 70 do 120 mieszkańców z sołtysami na czele. Policją miejską dowodzi oficer A. K. Istnieje również straż pożarna.

Dział gospodarczy Zarządu Miejskiego uruchomił już warsztat ślusarsko-mechaniczny, doprowadzający do porządku dawne niemieckie urządzenia miejskie — zniszczone i niepełne, warsztat stolarski, wytwarzający najpotrzebniejsze meble, parę warsztatów krawieckich, zaopatrzone w 32 maszyny do szycia.

Miasto Maczków posiada własny szpital na około 100 łóżek, obsługiwany przez sanitariuszek z A.K. i niemieckie zakonnicę — Franciszkanki, przychodnię lekarską, dentystyczną, oddział skórno-weneryczny oraz aptekę. Zakład oczyszczania miasta odczuwa brak środków transportowych. Uruchomiono już szkoły powszechne dla 600 dzieci i dwa przedszkola na 70 dzieci.

Prasę m. Maczkowa reprezentuje dziennik czterostoronicowy, powielany, o nakładzie kilkuset egzemplarzy. Główniki ustawione na ulicach służą do podawania zarządzeń miejskich i wiadomości oraz audycji radiowych. Harcerstwo rozpoczęło już pracę, organizując się gniazdo „Sokoła”. Stefan Kossak, który zamieszkał w „Polsce Walczącej” repartaż o Maczkowie, wymienia jako największe bolączki miasta: brak papierosów i poczty.

Greven

Obok „Rzeczypospolitej Brunzwickiej” i Maczkowa jedną z dzielnic miasta Greven stanowi przykład wzorowej niemal organizacji życia polskiego w Niemczech. Po ewakuowaniu ludności niemieckiej tego miasta, oddano je do rozporządzenia Polakom, Rosjanom, Francuzom i Holendrom. Polski ośrodek liczy około 3000 mieszkańców. Ulice polskiej dzielnicy noszą nazwy polskie, jak ulica Sikorskiego, aleja Wolności i aleja Warszawy. Na domach powiewają — jak w Maczkowie — polskie flagi. Ludność stanowią głównie osoby cywilne zesłane na roboty przymusowe: mężczyźni i kobiety, młodzież i dzieci — ludzie najroźniejszych zawodów i wykształcenia. Komendantem jest polski kapitan Sz., który rozpoczął tam pracę 7 kwietnia.

Od tego czasu uruchomiono już w Greven pięcioddziałową szkołę powszechną dla 80 dzieci oraz przedszkole — prowadzone przez zawodowych nauczycieli z Polski. Polacy korzystają ze wspólnego z innymi narodowościami szpitala, posiadającego oddział polski. Założono szwalnię, świetlicę i teatr. Informacje ze świata podawane są przez gazetkę ścienną. W ciągu dwóch pierwszych miesięcy istnienia polskiego osiedla w Greven udzielono przeszło 60 ślubów kościelnych.

Wspólna dla wszystkich Polaków kuchnia za-

opatrywana jest w produkty przez Niemców za pośrednictwem władz okupacyjnych, które wyznaczyły normy kaloryczne dostarczanej żywności. Początkowo Niemcy usilowali je obchodzić, dostarczając wielkie ilości mało wartościowych produktów, jak kartofle itp., ale władze ośrodka uporały się z tym szybko i obecnie — jak podaje korespondent Bolesław Piekarski — kuchnia ośrodka w zupełności zaspokaja potrzeby ludności.

Rysem charakterystycznym, odróżniającym Greven od innych ośrodków polskich w Niemczech, jest rozwój życia sportowego, którym kieruje b. więzień Oświęcimia, b. szef sztabu gen. Okulickiego w A.K., kpt. pilot Henryk Janota Bartoszewski. Istnieje klub sportowy i dwie drużyny harcerskie dobrze umundurowane. 3 maja, oprócz przedstawienia teatralnego odbyły się pierwsze zawody sportowe. Na własnym boisku prowadzona jest systematyczna zaprawa.

Oberlangen

Wiadomości o obozie kobiet z A.K., wziętych do niewoli po Powstaniu Warszawskim, są stosunkowo szczupłe. Korespondent Marek Święciecki, który wraz z gen. Andersem, pełniącym wówczas obowiązki Naczelnego Wodza, odwiedził oboz w Oberlangen w pierwszej połowie czerwca, podaje, że kobiety-żołnierze A.K. nie odczuwają tam niedostatku lub szczególnych niewygód. Zaraz po wyzwoleniu tych terenów przez wojsko polskie przeniesiono je z bardzo prymitywnego obozu, jaki wówczas zajmowały, do położonego w sąsiedztwie obozu dla obywateli niemieckich.

Obecnie zajmowane przez Polki baraki — jak pisze Święciecki — „są duże, szerokie, widne. Łóżka nie mają wprawdzie materaców, ale za to są wyposażone w wystarczającą ilość koców i w małe, polowe poduszki. Wszędzie jest bardzo czysto, w pewnym sensie komfortowo — w stylu jak najbardziej wojskowym i jak najoczywistej obozowym”.

Wiek tych kobiet jest bardzo różny. Zdarzają się zupełnie siwe obok podłotków i dzieci, które dostały się do niewoli wraz z matkami lub — jak opisany przez Święcieckiego — „mężczyzna”, 11-letni Mirek Wojtuskiński — pełniły w czasie Powstania funkcje łączników. Wszystkie prawie mieszkanki obozu są Warszawiankami i chrześcijankami.

Największą troską kobiet w obozie Oberlangen jest brak twórczej pracy. „Niech Pan napisze — prosili Święcieckiego, — że najgorsza dla nas obecnie jest bezczynność. Dławiemy się i dusimy w tym trybie życia, które nie niesie nam nic nowego. Mamy wykłady zorganizowane przez koleżanki, mamy ćwiczenia fizyczne, mamy nawet musztre. Ale my chcemy wrócić do normalnego życia. Chcemy być czynne, chcemy pracować”.

Potrzeby i projekty naprawy

Było by błędem sądzić, że wszystkie ośrodki Polaków w Niemczech są tak dobrze zorganizowane, jak kilka opisanych wyżej. Można się obawiać, że większość naszych rodaków w Rzeszy żyje ciągle w warunkach bardzo ciężkich. Braki organizacyjne są wielkie, potrzeby olbrzymie, konieczność reform paląca.

Niestety, istnieją obozy, gdzie matkom brak mleka dla dzieci, choć okolica bogata jest w niemieckie krowy, gdzie żywność nie dochodzi w dostatecznej ilości lub jakości, gdzie nie zorganizowano należytej opieki sanitarnej itd. itd. Dostawa gazet i czasopism — nie tylko bieżących, ale i starych, równie ciekawych dla ludzi wytrąconych przez szereg lat z biegu życia i nie informowanych bezstronnie o niczym — zawodzi niemal wszędzie. Brak radiodiodbiorników, brak lekarstw. Brak poczty i ułatwień zmierzających do łączenia pogubionych rodzin i przyjaciół. Nadmierny biurokratyzm wielu oficerów łącznikowych przy ustalaniu tożsamości i obywatelstwa, legalizowaniu związków małżeńskich itp. czynnościach bywa nieraz powodem rozgoryczenia.

Obok tych potrzeb bieżących, których listę można by znacznie przedłużyć, istnieją potrzeby na dalszą metę. Wśród pewnej części osłabła więź społeczna łącząca ich z Krajem i własną zbiorowością. Ciągła walka z bezprawiem ciemnoczów, ubieraniem w pozory prawa, wytworzyła instynkty apoleczne: przekore, stały wewnętrzny bunt przeciwko wszelkim przepisom, choćby z najsluszniejszego prawa płynącym. Obyczaje — zwłaszcza wśród kobiet, rozrzuconych po gospodarstwach i warsztatach pracy i wydanych ciagle na lup napastliwosci brutalnych pracodawców lub towarzyszy pracy — rozluźniły się. Wśród dzieci panuje analfabetyzm, zdarzają się przypadki częściowego zniekształcenia, mówienia po niemiecku, zapomnienia polskiego języka. Wyniszczenie fizyczne wszystkich jest groźne i trudno przewidywać, jak głębokie ślady pozostawi na stałe. Konieczna jest reedukacja, odbudowa poszanowania prawa, obyczajności, rodziny. Konieczna jest fizyczna regeneracja.

Na szczęście nie brak ludzi myślących o tych bolączkach, nie brak śmiałych głosów wołających o naprawę. Jan Kurzawa w paru artykułach w „Polsce Walczącej” proponuje stworzenie lotnej komisji kontrolnej, która by objęła wszystkie ośrodki, usuwając nieodpowiednich oficerów łącznikowych, a następnie opracowała wytyczne zmierzające do wyrównania poziomu obozów, ustalenia norm ogólnych, zaspokojenia najpilniejszych potrzeb, a w przyszłości — ustalenia możliwości rozwojowych całości polskich osiedli w Niemczech. Do komisji tej mieliby wchodzić przedstawiciele misji polskiej w SHAEF, specjaliści od organizacji masowych obozów z Anglii, komendanci najlepiej zorganizowanych ośrodków, znawcy zagadnień społecznych i wychowawczych, a jako obserwatorzy — przedstawiciele prasy i ekonomista.

Wśród owych projektów wysuwanych przez autora artykułu jest także myśl przejścia od Niemców jednej z radiostacji i użycia jej wyłącznie na potrzeby Polaków, projekt stworzenia szeregu gimnazjów, szkół dokształcających i zawodowych, a nawet uniwersytetu i politechniki. Gmachów i urządzeń mogą i powinni dostarczyć Niemcy. Dalej proponuje się stworzenie polskich warsztatów pracy na wielką skalę, przejęcie pewnych fabryk, zwłaszcza tych, które powstały dzięki pracy polskich robotników, oraz dużych gospodarstw rolnych skonfiskowanych państwu i zbrodniarzom wojennym.

Wszystkie te projekty są możliwe do zrealizowania pod warunkiem istnienia — jak dotychczas — dobrej woli i poparcia ze strony alianckich władz okupacyjnych i udzielenia odpowiedzi na zasadnicze pytanie: co zrobić z milionową rzeszą Polaków w Niemczech, skoro nie mogą oni w obecnych warunkach powrócić do Kraju.

Ost.

GDY IDEAL SIĘGAŁ BRUKU...

(Dokończenie ze str. 1-ej)

8 września 1944 r. wspomniana już wyżej „Tribune” postawiła kropkę nad „i”, pisząc:

„Nie możemy sobie przypomnieć, aby krytykowane wczesne konwoje do Rosji, chociaż zapłaciły one ciężką cenę w straconych okrętach, w ludziach i w materiale. Nikt nie powiedział wówczas, iż straty te są bezcelowe, gdyż tylko cząstka wysyłanego ekwipunku dochodzi do Rosji”.

Brak pomocy dla Warszawy urosł do rozmiarów skandalu międzynarodowego. W chwili gdy wojska polskie uwalniały Belgię, Holandię, Warszawa nie mogła uzyskać nawet zezwolenia na loty bombowe pilotów polskich na angielskich maszynach. 11 września Bor depeszerował, iż od 10 dni nie jedzą chleba i że braknie im nabojów.

Wówczas wybitny publicysta angielski Vernon Bartleth ujawnił sekret pozostawienia Warszawy własnemu losowi. Polegał on na fiasku rokowań o prawo lądowania na lotniskach sowieckich dla samolotów brytyjskich i amerykańskich, które by niosły pomoc Warszawie. Zgoda sowiecka skróciła trasę lotu o połowę i umożliwiła zaopatrywanie miasta w broń.

Dopiero gdy powstanie już dogorywało, Sowiety udzieliły swych lotnisk. 18 września Warszawa ujrzała na niebie białą gwiazdę amerykańskich samolotów. Ukazały się również myśliwce sowieckie, wznowiono sowiecką ofensywę. Wydawało się, że jednak istnieje jakaś solidarność między ludzka, zdolna uratować ginące miasto. Niestety, było już za późno, zbrodnicze zwlekanie i zbrodnicze uтрудnianie wydały swój rezultat. Powstańcy znajdowali się w odwrocie, Niemcy zdążyli sprowadzić poważne siły, a stałe bombardowanie zmusiło do zejścia w podziemia. Zrzuty nastąpiły zbyt późno, ze zbyt znacznej wysokości, były więc albo niecelne, albo zestrzelwane w locie przez Niemców.

Nie uszanowano nawet bohaterkiego zgonu miasta. Rzucono nowe oskarżenia, nazywając powstanie zbrodnią, twierdząc, iż gen. Bor jest fikcją, i że go nie było w czasie walk w Warszawie. Dostanie się gen. Bora do niewoli niemieckiej wydaje się dostateczną odpowiedzią na ostatni zarzut, gdy zaś o zbrodni mowa, można powiedzieć, że jedyną „zbrodnią” powstania było wykazanie, jak silny był Polski Ruch Podziemny, jak karny i dzielny, jak wierny swemu rządowi, jak nieustępliwie broniący wolności.

Cynizm dodał do poprzednich zarzutów jeszcze dwa ostatnie, pomawiając gen. Bora o współpracę z Niemcami, a powstańców o wrogość wobec Rosji, czego dowód widziano w kapitulacji przez armię niemiecką zamiast przejścia przez Wisłę na sowiecką stronę. Czerwona armia cofnęła się znad Wisły wskutek niemożliwości zdobycia przepraw — czyniła je miała zdobywać Armia Krajowa?

Wewnątrz numeru znajdują czytelnicy „W Drodze” bardziej szczegółowe zestawienie faktów i ściślejszy opis przebiegu powstania, tu jednak nie można pominąć udziału dzieci, udziału kobiet, rozstrzeliwania ludności przez Niemców, żywych zasłan z kobiet idących przed niemieckimi tankami, modlitwy żołnierzy, którzy błagali Boga o życie lub śmierć, o zbawienie od czyszcza szpitala pod bombami.

Czy wolno wreszcie nie wspominać na każdym miejscu, że żołnierze Armii Krajowej pseudorząd „polski” przyobiecował wówczas rozstrzelanie lub zsyłkę za udział w powstaniu? Ostatni rozkaz gen. Bora propagandą komunistyczną przedstawiała jako gest niemal proniemiecki, rzeczywistość pokazała, ile w tym było proroczej racji — pokonanie Niemiec przywróciło wolność żołnierzom z Armii Krajowej, podczas gdy wolność pod rządami Lublina zamieniła się w obóz koncentracyjny w Majdanku.

Wobec sierpnia 1944 r. błędnie tak nam wszystkim pamiętny wrzesień 1939. Zawieszone wówczas na tarczy herbowej Virtuti Militari nie może już dożyć obojętne stolice, gdy dziś nie order wojskowy uświetnia miasto, lecz miasto wspaniałe dodaje blasku Krzyżowi przez to, że złączyło go ze swym herbem.

Ludzkość, zmierzająca ku przyszłości pokoleju, głosząca hasła demokracji i miłości bliźniego, pozwoliła tragedii warszawskiej rozegrać się do końca. Niemcy, pokonani na każdym innym froncie, z Warszawy mogli wyjść zwycięzcy. Nawet to nie zostało oszczędzone Polsce i Polakom. Być może, że świat cywilizacji zachodniej, świat tej kultury, która jest treścią naszego życia, był zbyt — mimo wszystko — słaby, by móc przyjąć z pomocą lub tę pomoc umieć w innych wymusić. Na krzyk Warszawy niewątpliwie odpowiedział wstrząsem opinii. Czy jednak doszło do przemiany, do przeobrażenia sumienia? Wolno wątpić — gdyby bowiem sumienie świata odczuło prawdziwy sens powstania, nie zapadłyby wyroki moskiewskie i nie zapanowałyby komunistyczny rząd w Polsce. W powstaniu całe polskie społeczeństwo Warszawy zjednoczyło się we wspólnej woli wolności. Dziś ta wolność została zdeptana.

V

Zagadnienie Powstania Warszawskiego posiadało i do dziś dnia posiada głęboki sens polityczny. Przede wszystkim, jak to sformułowała „Tribune”, powstanie nie doszłoby do skutku, nie trwałoby tak długo, gdyby ludność Warszawy, a więc ludność stolicy — miasta reprezentacyjnego dla nastrojów polskich, nie widziała w rządzie polskim w Lon-

dynie swej jedynej prawdziwej władzy. Powstanie było więc niejako krwawym plebiscytem, w którym za prawo oddania właściwego głosu płacono się życiem. Mimo to złożono tych głosów setki tysięcy.

Wybuch Powstania był koniecznością wojskową. Wszelkie racje wojskowe wskazywały również na korzyści, jakie może osiągnąć sprawa aliancka, a szczególnie wojna na froncie wschodnim, z udzielenia pomocy powstaniu. Jeżeli pomoc ta nie nadeszła na czas, jeżeli nie udzielono jej w dostatecznych rozmiarach, musieli mieć po temu swoje ważne powody ci, od których była ona zależna. Odpowiedzialność za rozpoczęcie powstania leży w układzie zdarzeń, w konieczności wojskowej, odpowiedzialność za upadek Warszawy leży w układzie stosunków politycznych w Europie. Powstanie raz jeszcze powtórzyło sytuację września 1939 roku, raz jeszcze ukazało odrębne cele polityczne Zachodu i Wschodu.

Najpierw nie chciano wierzyć powstaniu, następnie je przemilczano, a gdy okazało się szeroką zorganizowaną walką, osnuto dokoła niego całą propagandę fałszerstw. Warszawa była jednak wtedy faktem zbyt jaskrawym, by można było nie zważać na wysiłek jej ludności. Rozpoczęto pomoc, pomoc sporadyczną i nieorganizowaną, widzianą źle po stronie sowieckiej, gdzie odezuto ją jako wtrącanie się zachodnich aliantów w nie swoje interesy.

Przekonano się rychło, że pomocą istotną będzie tylko ofensywa sowiecka lub zaatakowanie przez sowieckie lotnictwo niemieckich bombowców operujących nad Warszawą. Również i pomoc pośrednią — dostateczne zrzuty materiału wojennego — była wykonalna tylko przy współudziale Sowietów, przy zgodzie na lądowanie amerykańskich samolotów na rosyjskich lotniskach.

W ten sposób Rosja Sowiecka po raz drugi w tej wojnie uzyskała wielką szansę w stosunku do Polaków. Tak jak Kraj gotów był swego czasu zapomnieć dzień 17 września i związane z nim krzywdy w imię wspólnej walki z Niemcami, tak i teraz, gdy powstanie wyglądało nadejścia odsiecz jak zbawienia, Kraj ponownie był zdolny znowu wiele przebaczyć i wiele przekreślić w pamięci. Rosja odpowiednim gestem mogłaby niemal wynagrodzić bliską przeszłość. Gestu tego nie zrobiła, przekładając ponad próbę porozumienia z rządem polskim, udzielenie poparcia i środków propagandy Komitetowi lubelskiemu, usiłującemu powstanie zożydzić.

Związek Sowiecki żąda od Polski przyjaźni i zaufania. Nie uczynił jednak nic, by to zaufanie pozyskać, uczynił wszystko, by je stracić. Zaufania zaś nie zyskuje się stosowaniem siły. Nie sposób nakazać go — wymusić. Przyszłość pokaże w jakim stopniu było niemożliwe podjęcie ofensywy sowieckiej, ale już przeszłość ujawniła długotrwałe uporczywe odmawianie lotnisk samolotom amerykańskim oraz współudziału lotnictwa sowieckiego, brak odczucia wielkości dramatu jaki przeżywał wówczas naród polski. Zastaniano się względami wojskowymi, nie wzięto pod uwagę ani razu względów ludzkich. I dlatego też, jak pisała prasa angielska, żołnierze Warszawy — wszystko jedno z jakimi spotkają się wyjaśnieniami, będą „pamiętać tylko jedno: że Polacy umierali na oczach Rosjan, nie otrzymawszy żadnej od nich pomocy”.

„Wolno bez obawy błędu przepowiedzieć — wyciągał wnioski „Observer” — że jeżeli ta metoda będzie nadal stosowana, Polska nie będzie mieć przyjaznych uczuć dla Rosji, Rosja zaś nie będzie bezpieczna, dopóki rzeczywistość nie opamięta całej Polski”. Lewicowy zaś „The New Statesman and Nation” rozszerzał zagadnienie, mówiąc o „poczuciu krzywdy, które podminuje nadzieje na światowe porozumienie i pokój światowy”.

„The Economist” oceniał powstanie jako krwawy plebiscyt i wzywał Rosję do zmiany dotychczasowej polityki:

„Jest z całą pewnością oczywiste, że te fakty mają jeden moral, i to moral tylko dla Rosjan. Jeżeli rzeczywistość pragną oni istotnego porozumienia z narodem polskim, muszą poddać rozważeniu swój stosunek do rządu polskiego. Ale czy ta konkluzja będzie wzięta pod uwagę?”.

Wybrano drogę odmienną. Dzieła rozbicia Armii Krajowej w zakończonym klęską powstaniu miał dokończyć wyrok moskiewski, stawiając przed obcym trybunałem polskiego wicepremiera, przewodniczącego podziemnego parlamentu, polskich ministrów i działaczy.

Ludzie ci, oskarżeni o współpracę z Niemcami, przedstawiani jako symbol polskiej reakcji, współdziałali w powzięciu przez Radę Narodową wśród walk powstania historycznej uchwały z dnia 15 sierpnia.

Jednocześnie z walką o Polskę przybierał kształt jasny i określony ideał społeczny przyszłości. Gdyby okrośzył wiedzieli, że walką przede wszystkim o Polskę wolną, parlament Ruchu Podziemnego dodawał: o Polskę sprawiedliwą społecznie, Polskę zjednoczonego narodu.

W rocznicę Cudu nad Wisłą, Rada Jedności Narodowej w Kraju postanawiała, iż w odrodzonym państwie polskim Konstytucja zapewni poszanowanie prawa i sprawne rządy zgodne z wolą ludu, wyrażoną w wyborach, których ordynacja będzie służyła wyraźnemu odzwierciedlaniu opinii społeczeństwa. Dalsza uchwała gwarantowała naprawę jednego z głównych zaniedbań dwudziestolecia niepodległości: realizację reformy rolnej — stawia-

jąc zasadę indywidualnej własności ziemi, nie przekraczającą 50 ha. W przemyśle przewidywano upaństwowienie jego kluczowych gałęzi i współudział pracowników w kontroli produkcji. Na państwo owa karta praw obywatela nakładała obowiązek zapewnienia wszystkim pracy, dokonania sprawiedliwego rozdziału dochodu społecznego i upowszechnienia oświaty.

Jak Powstanie Warszawskie było koroną pięcioletniej działalności Ruchu Podziemnego i ujawnieniem jego sił, powzięte podczas powstania uchwały Rady Jedności Narodowej stanowiły krystalizację rewolucyjnego prądu, jaki przenikał społeczeństwo w okupowanym Kraju.

Klasy zresztą znikły pod oboma okupacjami, czy też uproszczyły się do dwóch: tych ludzi, których niszczył okupant i tych, którzy usiłowali zarobić na podrzędnych formach współdziałania z najeźdźcą. Wyrównanie różnic majątkowych przez sprowadzenie wszystkich do jednego poziomu biedy, zerwanie dziedzicznych związków, upadek nielicznych polskich wielkich fortun — wszystko to przygotowało społeczeństwo do daleko idącej reformy, do przyjęcia zasady równego startu i zasady pracy jako źródła zarobku. W miastach, które leżały w gruzach, gdzie przepadły zasoby gospodarce poszczególnych obywateli, każdy zdaje sobie sprawę, że tylko zbiorowy wysiłek zdoła dom odbudować i że było by sprzeczne z etyką chrześcijańską, gdyby owa wspólna praca stała się kiedyś źródłem przywileju i korzyści jednostki.

Tym tendencjom, które można by nazwać — w najlepszym sensie tego słowa — reformatorskimi, towarzyszyła w Ruchu Podziemnym pełna świadomość, że mogą one przynieść poprawę bytu tylko w atmosferze wolności politycznej i kontroli społeczeństwa nad rządem. To zaś jest osiągalne tylko i wyłącznie w niepodległym państwie polskim. W każdym innych warunkach oczekiwana reforma społeczna staje się narzędziem wywłaszczenia, zubożenia i osłabienia zasobów kraju przez okupanta.

Gdy na nowoczesne dzieje społeczeństwa polskiego spojrzeć poprzez kościuszkowską insurekcję, powstanie listopadowe, powstanie styczniowe, rok 1920, wrzesień roku 1939, Warszawę roku 1944 — widać, jak naród krzepnie i rozrasta się wgląd, jak rozszerza się koło odpowiedzialnych za jego losy obywateli.

Przed krakowskimi Sukiennicami Kościuszko przysięgał narodowi walkę do zwycięstwa, a chłopu — lepszą dolę. W radawickiej bitwie Bartosz zdobywał armaty, ale po walce ciż sami kosynierzy ubywają z szeregów, bowiem albo lękają się uporczywych wezwań swych panów do powrotu do pańszczyzny, albo nie są jeszcze zdolni pojąć potrzeby walki poza granicami województwa krakowskiego, — kochając ziemię, którą orzą i zasiewają, nie ogarniając jeszcze całości.

Gdy „Żołnierz-tułacz” Żeromskiego wraca do kraju spod polskich znaków Legii Włoskiej, dziedziec żąda skazania chłopca na śmierć za ucieczkę z pola. Skazują go i wiodą na ścięgę miejskie tyki — następny stopień w hierarchii polskiej biedy. Od tetmajerowskiego Księdza Piotra, gdy ten jeszcze parał się szablą, ucieka w roku 1931 chłopak-podjeźdek. Ucieka od „pańskiej wojny”, której celu i sensu nie rozumie. A widma obdzierające trupa powstanka w „Rozdziobią nas kruki, wrony...”, a zmory „Turonia”?

Lecz równocześnie w ślad za kosynierami idą listopadowi żołnierze Czwartego Pułku, dzieci warszawskiej ulicy. W roku 1863, gdy jeden chłop okrada trupy żołnierzy Rządu Narodowego, drugi żywi powstańców, karczmarz-Żyd prowadzi wywiad na rzecz ukrytej w lasach partii, a po piwnicznych suternach niepiśmienne dziewczyny drą swe koszuły na szarpie i bandaż. Chłop staje w roku 1920 na czele rządu, broniąc Polski przed najazdem rosyjskiego komunizmu, chłop, choćby widłami, walczy z Niemcami w roku 1939, pojawia się na koniec, iż tylko w Polsce, we własnej Polsce, może doczekać się lepszego życia.

Wskutek długotrwałych lat niewoli zabrakło istnienia państwa polskiego w okresie, kiedy najpierw państwo absolutne, a następnie państwo liberalne, spajało poszczególne warstwy i klasy i wychowywało nowoczesne narody. Ów organiczny proces zrastania się, scalania, dla Polski historia zamieniła na gwałtowne stapianie się części w całość w tyglu wojny, w ogniu walki. Powstanie Warszawskie ostatecznie wytworzyło ów kruszec nowoczesnego narodu polskiego. Gdy nas ogarnia żal za spaloną stolicą, gdy nas chwytają rozpacz na widok tych ofiar i gorzki rezultat ich śmierci, pomyślimy, o ile było by nam ciężiej bez — Powstania w Warszawie. Gdy znów będziemy kiedyś liczyć daty wolności i niewoli, pamiętajmy, że żołnierze gen. Bora umierali jako ludzie wolni. Że nad ich grobem powiewał biało-czerwony sztandar, a imię ozdabiał pośmiertny krzyż „Virtuti”, nadawany przez własne państwo.

Walczyl oni już nie dla zwycięstwa. Walczyl dla przyszłego pokolenia, by mu zostawić technię wolności — ostatnie technię umierających w Warszawie. I mieli tego świadomość. „Niechaj to wszystko — mówi testament powstania — przypieczętuje wewnętrzne zrośnięcie się i siłę naszego narodu, prawdziwe zjednoczenie naszego życia politycznego — niechaj to złączy nas w przyszłości”.

Niech się tak stanie. Niechaj nas złączy w przyszłości...

Tylokrótnie hekatombę Warszawy porównywano do greckich Termopil. Jak na Termopilach kładziono napis: „Przechodniu, powiedz Sparcie...”, lecz czy poza nami, poza garstką Polaków wolnych, może komukolwiek Przechodzień powiedzieć o prawdzie? Czy świat zechce jej słuchać, czy temu, który widział i słyszał, pozwoli w Polsce mówić? I gdzie istnieje dziś owa Sparta prawa, honoru i wolności, której prawom posłuszny poległ Leonidas?

VI

Wśród wszystkich, rozpamiętujących Powstanie Sierpniowe, jest garść tych, co jak najbliższa rodzina dotknięta stratą, mają prawo w tym dniu zasłonić twarz żałobą, by ukryć swą boleść przed okiem ludzi dalszych, lub mniej czułych. To Warszawiaczy. Dla nich ruina Warszawy jest ciosem nie tylko w Polskę i los ojczysty, jest ciosem we własne serce.

Rodziliśmy się w owej Warszawie Prusa, Sienkiewicza, Gomułkiego, Or-Ota, razem z nią rosnąc, razem z nią, otrząsającą się z złotej brzydoty rosyjskiego tynku, poznając piękno i urodę życia. Oto wracając przed białą kolumnadę Saskiego Pałacu pomnik księcia Józefa, — wieniec ogrodów, jak wianek głowę oblubienicy, obejmował radosne, niepodległe miasto. Odkrywały swój polor i blask stanisławowskie pałace, gołębie wlatywały nad kolorowymi domami Starego Miasta. Słońce zachodziło w dymach fabryk, w pióropuszu pary z pociągów, znikających pod ziemią.

O, miasto nasze! Znamy nie tylko Twój wdzięczny kształt, Twe lekkomyślne wesole ulice, znamy nawet Twe kamienie i Twoje drzewa. Nie może być pełni naszego życia tam, gdzie Ciebie nie ma! Tam, gdzie nie można sięgnąć nad rzeką i patrzeć na leniwe fliszacze tratwy, gdzie nie można błędzić nad stawami łazienkowskiego parku, zanurzać się w spokojny cień starych ulic, pytającym wzrokiem patrzeć w okna Belwederu, przed warszawską Operą słuchać chopinowskiego marsza, którym z balkonu gmachu miasto żegnało wielkich w narodzie.

Pogrzeb Żeromskiego, Reymonta, Prezydenta Narutowicza, Słowackiego, pogrzeb Pierwszego Marszałka Polski, za którym szły wszystkie sztabary armii. Zaiste, przez to miasto biegła wzniosła i tragiczna arteria Niepodległości, znająca i 3-majowe pochody i trumny Narutowicza, defilady i śmierć młodych Podchorążych, przejazdy ukochanych szwoleżerów, otaczających milczącą, mroczną postać, i korowody uroczyste wszystkich pamiętek narodowych. W owej alei wysadzonej drzewami, na owym szlaku pałaców książąt i pałaców nauki, na drodze od Belwederu do Zamku toczyło się życie 20 lat Rzeczypospolitej.

Goethe nazwał architekturę „zamrożoną muzyką”. Czy pamiętacie menuet Łazienek, wdzięczną harmonię baroku Kościoła P. Witytekt, strzelisty hymn Katedry, pieśń Bogurodzicy zaklętą w surową wieżę Kościoła Panny Marii na N. Mieście, prostą, surową symfonię bazaltu Ministerstwa Komunikacji? Pamiętacie! — gdyż tych kształtów, tej pieśni — już nie ma. Gdy bowiem Grottger rysował wizję Warszawy, z poza osypanego gruzem Placu Zamkowego, widział Kolumnę Zygmunta. Dziś nie ma nawet i tej Kolumny, której nie dosięgły bomby wrześniowe. Już nie siedzą na niej leżące do ojczyzny Słowackiego podróżne żurawie...

Ale gdy kurz i gruz okrywa ruiny Warszawy, w tej architekturze walki i zniszczenia, w murach spalonych i pagich, w sterzącej samotnie Kolumnie, zamknięta jest nieśmiertelna muzyka boju i dumy, nieśmiertelna pieśń burzy. Oto szkielec Zamku, oto św. Jan zdruzgotany, a oto dom, zwyczajny dom, tak dobrze znany Warszawiakom — Zakład Głuchoniemych i Ociemniałych na Placu Trzech Krzyży. To tutaj kalecy, nieczuli na łoskot walących się gmachów, niewidzący światłości pożaru, bronili się do ostatka, czyniąc najwyższy użytek ze swego nieszczęśliwego życia. To tutaj... — można by tak co krok wskazywać na zawarty w rozsypance cegle i potrzaskanym kamieniu pomnik wielkości, aż przerażającej swą mocą.

W dzień rocznicy tych, którzy musieli umrzeć, my, którzy nie zawsze umiemy żyć, spojrzmy w oczodoły Warszawy, wytrzymajmy Jej spojrzem, albowiem — „Powiadam wam — jest jedno na wszystko

zakoście,
I jedna nieprzebyta jest przed nami koleją,
Czy to kogo upaja, czy to kogo boli:
Z żelaza muszą powstać Polacy, — z żelaza”.

Zdzisław Broncel

Nowość!

SYMON ASKENAZY

„Ks. Józef Poniałowski”

Wydanie V

Nakład wydawnictwa „W Drodze”

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Jerusalem, Hassolei Street No. 9.
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.